MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 7. WARSZAWA, 11 LUTEGO 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

JEDYNA DROGA WYJŚCIA

BEZROBOCIE w Polsce rośnie i liczba zarejestrowanych ludzi bez pracy osiągnęła w ostatnich tygodniach wysokość dotychczas u nas nie notowaną — prawie 400 tysięcy osób. Naturalnie, liczba faktycznie pozbawionych wszelkiego, lub w najlepszym razie dostatecznego zarobku, jest znacznie wyższa. Zastój na wewnętrznym rynku pracy, zamknięcie dróg emigracji zarobkowej z jednej strony, a przyrost ludności z drugiej, pociąga za sobą pauperyzację społeczeństwa i wyjście z tego położenia nie jest oczywiście łatwe. Jednakowoż istnieje, jeno nie widać, żebyśmy sobie dostatecznie uświadamiali, jaka droga doń prowadzi. Ujawnienie rekordowych liczb bezrobotnych zeszło się z optymistyczniejszą oceną położenia w niektórych działach wielkiego przemysłu, gdzie zanotowano lekki wzrost produkcji. Zestawienie tych dwu faktów unaocznia najlepiej, że wielki przemysł kwestji bezrobocia nie rozwiąże. Istotnie, trzebaby nie lada rozwoju tego przemysłu, żeby mógł pochłonąć nasz przyrost, a przecież dziś o takim rozwoju nawet największy optymista nie myśli, z drugiej zaś strony tendencją wielkiego przemysłu jest przecież obecnie najdalej posunięta t. zw. racjonalizacja, wyrażająca się przedewszystkiem w redukowaniu liczby zatrudnianych ludzi. Z obu tych względów nie możemy się z tej strony spodziewać ratunku. Mimo to jednak stare nawyczki myślowe utrzymują naszą działalność oficjalną na ślepej ulicy wielkiego przemysłu i racjonalizacji. Dowodem tego nowa pożyczka zagraniczna, zaciągnięta na automatyczne hamulce przy pociągach towarowych, które to ulepszenie uczyni zbędną pracę paru tysięcy ludzi. A trudno powiedzieć, żeby ruch towarowy na naszych kolejach wzrastał w ostatnich latach w takiej mierze, iżby jego przyśpieszenie i usprawnienie stawało się nieuchronną koniecznością.

Zaradzić złemu i powstrzymać wzrost nędzy mogą u nas tylko takie formy przetwórstwa, które używają właśnie wielu rąk do pracy, a jednocześnie nie wymagają większych kapitałów, a więc przedewszystkiem drobny przemysł domowy. Pewien szczegół odbywającej się właśnie w sejmie dyskusji budżetowej daje bardzo dobrą ilustracją tego twierdzenia i pozwolę sobie zająć nim bliżej uwagę czytelników.

Ostatnia wojna, połączona ze stosowaną na szeroką skalę blokadą, zwróciła uwagę wojskowych wszystkich państw na konieczność zapewnienia sobie na wypadek przyszłych konfliktów zbrojnych wszelkich niezbędnych surowców w kraju, gdyż dowóz może być łatwo przerwany. Do takich surowców należą przedewszystkiem surowce włókiennicze i oto widzimy we wszystkich krajach europejskich usiłowania wojskowości w kierunku wzmożenia produkcji lnu, mogącego zastąpić zamorską bawełnę, oraz wełny. Nasze ministerstwo spraw wojskowych poszło w tym kierunku energicznie i stwarza przez swe zapotrzebowanie dość już wydatny dla krajowego producenta rynek na oba te surowce. Przedstawiciel rządu oświadczył w komisji sejmowej, że wartość zużytkowanych przez wojsko tkanin lnianych w ciągu ostatnich lat wzrosła z kilkudziesięciu tysięcy na przeszło 10 miljonów złotych. Cyfra już dość poważna. W celu pokrycia swego zapotrzebowania wojsko

zwróciło się również do drobnej wytwórczości, do domowych warsztatów chłopskich, przerabiających u nas ręcznie znaczne ilości lnu, przeważnie jednak na własny tylko użytek. Nie wiadomo, jaka część tych dziesięciu zgórą miljonów wpłynęła do kieszeni chłopskiej, jaka zaś do kasy większych fabryk lniarskich, ale zanalizujmy korzyści społeczne, jakie wynikają z zakupów na tę sumę w obu wypadkach, t. zn. w większych fabrykach mechanicznych, lub też od drobnego wytwórcy domowego. Analiza ta nie może, oczywiście, mieć pretensyj do aptekarskiej dokładności, lecz da nam jednak pojęcie o wzajemnym stosunku tych dwu rodzajów wytwórczości.

W ogólnej sumie 10 miljonów mniej więcej połowę stanowi wartość surowego włókna i tę pozycję można traktować w obu wypadkach jako społecznie mniej więcej równowartą, aczkolwiek w jednym wypadku występuje pośrednik handlowy, w drugim zaś, przy nabywaniu wprost od włościan, plantatorów, przędzalników i tkaczy w jednej osobie, takiego pośrednictwa niema. Pozostała jednak druga połowa rozkłada się w obu wypadkach bardzo niejednakowo. Na ogólną wartość sprzedażną 10 miljonów, płace zarobkowe robotników włókienniczych i pomocniczych przemysłów wyniosą, obficie licząc, 15%, czyli półtora miljona, co przy praktykowanych u nas płacach równa się rocznemu zarobkowi nieco więcej niż jednego tysiąca robotników. Suma pozostała po odliczeniu kosztu surowca i płac zarobkowych nie stanowi oczywiście zysku fabrykanta, idzie w znacznej części na pokrycie kosztów ogólnych, a te są właśnie również w znacznej mierze dla nas społeczną stratą, gdyż odpływają zagranicę jako oprocentowanie kapitału zakładowego fabryk, bo ten jest w znacznej części obcy, jako oprocentowanie kapitału obrotowego, bo nasze fabryki są po uszy zadłużone zagranicą i jako amortyzacja maszyn, sprowadzanych również z zagranicy. W ten sposób zakup tkanin za 10 miljonów w wielkich fabrykach daje liche utrzymanie tysiącowi robotników, daje zysk pewnej liczbie krajowych przedsiębiorców i pośredników, natomiast odprowadza pewne, dość znaczne sumy zagranicę.

Zupełnie inaczej przedstawia się społeczny bilans zakupu u drobnego wytwórcy—chłopa. W tym wypadku cała suma idzie do kieszeni producenta, przedstawiającego najwyższy typ organizacji przemysłowej, bo skupiającego w jednem ręku cały proces od hodowli surowca, aż do gotowego produktu. Uwzględniając możliwości producyjne drobnego gospodarstwa włościańskiego w tej dziedzinie, możemy przyjąć wartość wyprodukowanej w niem tkaniny na jakie 200 złotych, czyli suma 10 miljonów rozdzieli się na 50 tysięcy zagród chłopskich.

Może ktoś potraktować sumę 200 złotych, otrzymaną za pracę i w polu i przy warsztacie za śmiesznie małą, ale tak rozumującemu wystarczy przypomnieć, że dochód na głowę w 5-cio morgowem gospodarstwie wiejskiem w Małopolsce zachodniej wynosi obecnie 44 grosze dziennie. Pewnie, że zarobek na tej tkaninie nie jest duży. Znawcy obliczają, że wziąwszy wszystko pod uwagę wynagrodzenie pracującej przy tem kobiety wyniesie 50 groszy dziennie. Jest to bardzo mało, chociaż wartość nieco się podnosi przez to, iż jest to zarobek w domu, a więc nie pociągający wydatków ubocznych, ale nikt, znający stosunki wiejskie, nie zlekceważy przypływu 200 zł. gotowego grosza do gospodarstwa wiejskiego w dzisiejszych warunkach. To może dopiero stanowić tamę pauperyzacji, nie zaś koncentracja wytwórczości w wielkich zakładach, których ideałem jest zatrudniać jak najmniej ludzi. Zestawienie dwu rezultatów: utrzymanie 1000 robotników z jednej strony, a wydźwignięcie z nędzy 50 tysięcy gospodarstw chłopskich z drugiej wskazuje jasno, gdzie leży właściwa droga. A pierwsze próby, uczynione w ostatnich latach w tym kierunku, wykazały, że droga ta jest bynajmniej nie fantastyczna, przeciwnie daje w praktyce dobre wyniki i wymaga tylko nieco sił organizacyjnych. No, ale tych nam dziś chyba nie powinno zabraknąć.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

UWAGI O PROGRAMIE GOSPODARCZYM. — IV

DWA ŚWIATY

MINĘŁY już te czasy, kiedy imponowały nam tylko wielkie fabryki, wielkie banki, wielkie przedsiębiorstwa. Ostatnie przesilenie wykazało jasno wszystkie ujemne strony wielkiego przemysłu i koncentracji kapitałów. Występuje nowe zjawisko: dekoncentracji, wzmocnienia warstwy średnich i drobnych wytwórców. Oczywiście wzmocnienie względne, t. j. utrzymywanie się przy życiu mniejszych warsztatów przy upadku większych.

I trzeba pamiętać, że walka nie jest równa. Wielki wytwórca z reguły korzysta z różnorakich form interwencji państwa, podczas gdy mały zazwyczaj bardzo dotkliwie je odczuwa. Mały wytwórca nie ma tak potężnej broni, jaką jest organizacja kartelowa, przeciwnie, cierpi wskutek uprawianego przez kartele wyzysku.

Można mówić, co się chce, o oszustwach „anonimowego przemysłu", o „tandetnej" produkcji małych warsztatów i t. p. — nie można jednak zaprzeczyć, że w obecnych warunkach żywotność małych warsztatów może być wzjaśniona jedynie ich większą zdolnością do życia. Nie trudno wytłumaczyć, na czem to polega. Nie chodzi tu może

tyle o rozmiary przedsiębiorstwa, co raczej o bezpośredni, osobisty związek właściciela z warsztatem pracy. Związek ten jest podnietą do wyzyskania wszelkich możliwości, janajwydatniejszej pracy, do jaknajwiększej oszczędności. Jednem słowem, w drobnej i średniej wytwórczości widzimy wszelkie dobre cechy dawnego kapitalizmu — a nie jest ona dotknięta chorobą tak zwanego „późnego“ kapitalizmu. Poprostu jest to lepsza forma gospodarowania. Ta wyższość gospodarcza pozwala drobnej produkcji zwyciężyć swego konkurenta lepiej pod względem technicznym przygotowanego do tej walki konkurencyjnej.

Na tem miejscu nie potrzebuję chyba rozwodzić się nad tem, że ten stan rzeczy jest pożądany ze względów społecznych. Nie można się martwić z tego, że wielkie, zmechanizowane fabryki ze zmechanizowanymi robotnikami nie wyrugują samodzielnych wytwórców. Nie wolno jednak sprawy traktować jednostronnie.

Ostatnio pisze się wiele na temat bankructwa wielkiego przemysłu, mechanizacji i t. p., zapominając często o tem, że nie można w warsztatach rzemieślniczych wytwarzać np. stali, maszyn, samochodów, czy *last not least*... armat. Rozwój niezależnego gospodarstwa narodowego nie jest możliwy bez wielkiego przemysłu.

Trzeba zatem dążyć do sharmonizowania poszczególnych działów gospodarstwa narodowego i do znalezienia takich form, któreby dały małemu człowiekowi możność swobodnego zużytkowania inicjatywy indywidualnej, tworzącej kapitał narodowy, a zarazem w sposób radykalny usunęły niedomagania zdegenerowanego kapitalizmu.

Spolszczenie przemysłu i handlu, atmosfera moralna, wolna od wpływów rozkładowych — oto zasadnicze warunki skierowania inicjatywy prywatnej na dobrą drogę. Pozostawienie jaknajwiększej części dochodu przedsiębiorcy polskiemu — to jednak najlepszy sposób gromadzenia kapitału narodowego, lepszy z pewnością od akumulowania pieniędzy w rękach tych czy innych instytucyj publicznych. Trudno dziś myśleć o tej kapitalizacji, skoro utrzymywać musimy kastę biurokratyczną.

Rzecz dziwna: w okresie, w którym państwo nie spełnia zasadniczych swych zadań w dziedzinie gospodarczej, aparat publiczno-prawny rozbudowany został w niebywały sposób. Gdzie szukać wytłumaczenia tego zjawiska? Niewątpliwie t. zw. nadprodukcja inteligencji wytwarza stały nacisk na państwo w kierunku rozszerzenia jego działalności. Łączy się to z upadkiem inicjatywy społecznej i indywidualnej. Państwo z jednej strony wchłonęło ludzi, którzy mogliby pracować produktywnie, z drugiej strony zaś, hamując inicjatywę społeczną i indywidualną, zamknęło inne drogi, stojące niegdyś otworem przed młodym „inteligentem“.

Czyż może być smutniejsze zjawisko, jak upadek spółdzielczości polskiej, niegdyś tak świetnie się rozwijającej, skoro równocześnie spółdzielczość ruska robi naprawdę wielką rzecz: podnosi ekonomicznie wieś i ruguje element żydowski z handlu. Na tej drodze zdystansowały nas nawet takie państwa jak Litwa i Łotwa.

Polska jest dziwnym krajem: odczuwa już następstwa choroby ustroju kapitalistycznego, a jeszcze wciąż ma niesłychanie mało kapitału. Niektóre dziedziny przemysłu zorganizowane są tak, jak w krajach o najdalej posuniętym „rozwoju“ kapitalizmu, a równocześnie wieś stoi na poziomie zamożności czy nędzy z połowy XIX wieku.

Biurokracja nasza pod względem liczebności nie ustępuje biurokracji krajów, w których jest z czego ją opłacać.

Mamy w Polsce dwa światy: kastę biurokratyczną z wielkim przemysłem — to jest świat władzy i potęgi, oraz rolnictwo, małe warsztaty, handel polski. Zarówno kasta biurokratyczna, jak wielki przemysł żyją kosztem małych. Mogą to wytrzymać kraje, zasobne w kapitał, gdzie ludność posiada olbrzymie rezerwy nagromadzonych oszczędności. Polska natomiast na dłuższą metę nie może wytrzymać ani wysokich budżetów, ani stałego eksportu kapitałów zagranicę dla opłacenia „odsetek od kredytów“ dla wielkiego przemysłu, a ściślej mówiąc, dla opłacenia zagranicznemu kapitałowi haraczu nadmiernych zysków.

*

W wielkim skrócie starałem się przedstawić mój pogląd na dzisiejszą strukturę gospodarczą Polski i ukazać największe jej braki.

Wnioski nasuwają się same:

Tam, gdzie nie zerwano jeszcze węzłów, łączących właściciela z przedsiębiorstwem, tam gdzie te węzły można jeszcze nawiązać, należy pozostawić wolność gospodarczą.

Natomiast tam, gdzie rządzi nie człowiek a bezosobowy kapitał, zawsze obcy, trzeba reform dalej idących. Wielki przemysł nie może pracować dla zagranicy — musi pracować dla Polski.

Na tem opieram swoje poglądy, które mogą się wielu ludziom wydać mieszaniną i zlepkiem sprzecznych teoryj. Dla mnie jednak żadne teorje nie mają znaczenia. Chodzi o polską rzeczywistość, która jest tak zawikłana, że nie można znaleźć środków zaradczych w oparciu o jakąkolwiek doktrynę.

WOJCIECH ZALESKI

ŚWIATOWA POLITYKA ŻYDOWSKA

ŚWIEŻO na półkach księgarskich ukazała się książka p. t. „Światowa polityka żydowska“. Autorem jej jest p. Zbigniew Krasnowski.

O ile mogę sądzić z wiadomości zasięganych, nazwisko autora po raz pierwszy w literaturze się ukazuje. Wstęp do dzieła, w formie uwagi skierowanej „do czytelnika“, podpisali „wydawcy“, lecz mimo to nie jest on ani w najmniejszym stopniu reklamą. Pozwolę sobie przytoczyć tu ten krótki wstęp, trafnie w ogólnych słowach charakteryzujący książkę omawianą. Wydawcy piszą:

„Zgodnie z zamiarem autora, książka niniejsza stanowi zbiór dokumentów, któremi sami żydzi świadczą o istocie i metodach światowej polityki żydowskiej. Znajduje się tu około trzystu wyciągów z dzieł, odczytów, przemówień, rozpraw i wynurzeń najwybitniejszych działaczów żydowskich doby obecnej, oraz z doniesień żydowskiej prasy politycznej. A wszystko z dokładnem wskazaniem źródeł i dat.

Autor świadomie zacieśnił rolę swoją do rozumowego

uporządkowania tak wielkiej ilości przytoczeń, dzieląc je i szeregując według głównych sprawy zagadnień, a stanowisko własne zaznacza tylko mimochodem, w słowach najkrótszych. Wobec jasnej treści przytoczeń i dobrego ich układu, szersze komentarze są tu, istotnie, zbyteczne. Jest to, słowem, praca o niezwykłym w tej dziedzinie objektywizmie.

Obie cechy — wyłącznie żydowskie oświetlenie przedmiotu i ogromny materjał dowodowy — czynią z książki tej dzieło w swoim zakresie wartości pierwszorzędnej".

Niema przesady w tej opinji wydawców. W naszej wiedzy o polityce żydowskiej książka p. Krasnowskiego stanowi zdawna oczekiwane i doniosłe uzupełnienie, w postaci zbiorowego oświadczenia samych żydów o istocie i metodach własnej ich polityki. Cokolwiek o tym przedmiocie pisało się dotychczas, chociaż pisało się na podstawie faktów i dokumentów, mogło być przez żydów uznawane za sąd podmiotowy i jednostronny, a więc podlegający wątpieniu. Wiadomo, że żydzi w swojej obronnej propagandzie, wśród narodów rdzennych szerzonej, znakomicie ten punkt wyzyskiwali. Z chwilą ukazania się dzieła p. Krasnowskiego, wszytkie tego rodzaju zabiegi żydowskie upadają. Leży oto przed nami książka, którąby mogła mieć taki podtytuł: „Co sami najwybitniejsi żydzi pomiędzy sobą mówią i sądzą o światowej polityce żydowskiej".

Po przestudjowaniu dzieła czytelnik odczuwa przedewszystkiem żywą wdzięczność dla autora za dar, o tak niewątpliwej i jasnej prawdziwości. Następnie ogarnia czytelnika zdumienie nad ogromem pracy, której książka ta jest owocem. Z toku treści widać, że autor włada żargonem i hebrajskim, (nie mówiąc już o językach europejskich), a z zasięgu dat wynika, że literatura i prasa żydowska, w różnych językach drukowana, ma w autorze stałego i pilnego czytelnika od lat (mniej więcej) dwudziestu. Z układu zaś książki i z autorskich uwag ogólnych i poszczególnych od pierwszych stronic otrzymuje się pewność, że mamy do czynienia z człowiekiem zrównoważonym, który nad przedmiotem dzieła panuje całkowicie.

Autor nie ukrywa swojego zapatrywania na sprawę żydowską, ale też nigdzie go ponad miarę nie wysuwa. Jest tak spokojny, tak w mowie swojej zwarty, jak wytrawny kustosz muzeum, oprowadzający gości wzdłuż gablotek cennych zbiorów swoich. Zazwyczaj milczy, pozwalając czytelnikowi samodzielnie snuć rozmyślania nad tym i owym okazem. A gdy o czem niezwykłem wtrąci sąd swój, to z objektywizmem wręcz wzruszającym... Tak, naprzykład, gdzie ja (w szczególności), a może i wielu z nas określiłoby daną metodę żydowską jako „oszustwo", autor z całą powagą nazywa to „wprowadzeniem w błąd otoczenia". Po przeczytaniu tej książki sam tym wzorem „kradzież" zacząłem nazywać „pozbawianiem własności" „kłamstwo" — „świadomem omijaniem prawdy", a „fałszerstwo" — „przemianą wartości"...

Ale porzućmy żart, który tu pod rękę się nawinął. Autor niezwruszony jest w swojej powadze i w swoim objektywizmie, nigdzie barw własnych na sprawy omawiane nie nakłada, ale umie skorzystać z barwy, którą mu w jego zbiorach jaki dokumet poda. Jako przykład, niechaj posłuży wyjęty z łódzkiego procesu przeciw komunistom list miłosny żyda-komunisty do żydówki-komunistki. Autor książki przytacza z tego listu zdanie następujące. Zakochany żydek woła do swojej Esterki: „kocham cię, jak władzę sowiecką, pałam do ciebie miłością, jak do rewolucji społecznej"... Nietylko jednak nieznani żydowie przysparzają czasem koloru i dowcipu dziełu p. Krasnowskiego. Sam wielki rabin krakowski, zarazem wódz masonów polskich i zarazem poseł na sejm Rzeczypospolitej, dr. Jehojszue Thon wyjątkami rozpraw swoich pobudza tu czytelnika do śmiechu i do... głębokiego zastanowienia.

Oto, naprzykład, zdanie, dotyczące słynnego „traktatu o mniejszościach", wyjęte z rozprawki rabina Ozjasza (Jehojszue) Thona. Traktat ten, nad którego pomysłem współpracował p. Thon, nazywa on poprostu „kawałem żydowskim" (w znaczeniu, które słownik żydowsko-niemiecki określa jako „*spass*", albo „*witziger Einfall*", co w języku polskim dobrze oddaje popularne słowo „kawał"). Poczem wielki rabin krakowski, a zarazem dostojnik loży „Bnei Brith" dodaje dosłownie:

„Kawałów żydowskich było na świecie bardzo, bardzo dużo, poczynając od dziesięciu przykazań naszego nauczyciela, Mojżesza, a kończąc kawałami czasów naszych."

W innej zaś rozprawie, mówiąc o hasłach rewolucji francuskiej — o wolności i równości, p. Thon tak poucza:

„W związku z tem musi się przedewszystkiem stwierdzić, że co się tyczy równości w znaczeniu równouprawnienia, nietylko że żydowska wiedza o niej nie poucza, ale, co więcej, cała ta sprawa równych praw jest „wynalazkiem żydowskim", jednym z wielu kawałów żydowskich, które od nas narody rdzenne przyjęły ze zgrzytem zębów. One jednak musiały je przyjąć. A zupełnie dużym kawałem żydowskim było to, że równouprawnienie rozciąga się nawet na obcych..."

Musimy przyznać, że to jest bardzo barwne. I ciekawe! I zastanawiające. Nie dziw, że Niemcy, naprzykład, które także ze zgrzytem zębów kawał żydowski przyjęły, teraz z kolei rzeczy również ze zgrzytem zębów go zwracają! Ta kolej rzeczy jest nieunikniona.

Zastrzec się jednak wypada, że p. Krasnowski nie dla barwności tego rodzaju wyciągi przytacza. Pilnuje on wszędzie samej treści przedmiotu i od niej na boczne drogi nie zstępuje, pomimo, że mnóstwo przytoczonych wynurzeń żydowskich wiele po temu sposobności nastręcza. Można nawet powiedzieć, że ogrom materjału, w książce zgromadzonego, nie całkiem jest w bogactwie swojem tu wyzyskany. Mówię to jednak w znaczeniu pochwały dla autora, że, mianowicie, umiał powstrzymać się od rozpraszania uwagi czytelnika, skupiając ją wszędzie na drodze najkrótszej, po której do celu swojego podąża. A celem tym jest jasne przedstawienie i udowodnienie głównych wytycznych światowej polityki żydowskiej.

Książka podzielona jest na rozdziały, „napchane" (że tak się wyrażę) przytoczeniami faktów i oświadczeń, wyjętych z życia, literatury politycznej i prasy żydowskiej. One same—oświadczenia owe i zdarzenia — mówią o wszystkiem i oświetlają wszystko, co stanowi treść książki. Omówione tu są kolejno: konieczność wprowadzania w błąd otoczenia, idea „misji" żydowskiej na świecie i „wybrańśtwa" narodu żydowskiego, pokojowy podbój świata przez żydów dokonywany, idea braterstwa ludów i pacyfizmu żydowskiego (obie nazewnątrz przez żydów dla nieżydów głoszone), moralne, gospodarcze i orężne rozbrajanie narodów rdzennych, spublicznienie życia narodów dla wygody żydostwa, walka żydów z judofobją, stosunek do rewolucyj ze strony plutokracji i ortodoksji żydowskiej, nacjonalizm żydowski i syjonizm, sprawa Palestyny, korzyści, jakie żydzi mają z przewrotów

i wywrotów społecznych i politycznych, poza ghettem dokonywanych, osadnictwo rolne, militaryzm żydowski i jeszcze kilka spraw pomniejszych.

Ponieważ to wszystko ujęte jest w przytoczenia żywych mów, oświadczeń i wynurzeń najwybitniejszych przewódców żydostwa, oraz w zdarzenia z różnych krajów kuli ziemskiej, więc, obok treści, przed oczami czytelnika rozwija się barwna panorama ludzi, charakterów, sporów, żywych wypadków historycznych, rozrzuconych po wszystkich niemal krajach, stolicach, lądach i narodach świata. Stanowi to nie zamierzony przez autora, ale w pełni osiągnięty, powieściowy ruch i rytm życiowy dzieła, ożywczo na czytelnika działający. Czyta się je, jak romans, w zawrotne tempo fabuły wyposażony, ale z tą od romansu różnicą, że do dzieła tego wciąż się powraca i wciąż powracać się będzie, bowiem, ze względu na treść i bogactwo materjału, książka p. Krasnowskiego jest czemś w rodzaju encyklopedji podręcznej, czy raczej monografji encyklopedycznej. I napewno taką właśnie doniosłą rolę w naszej i obcej literaturze o żydach odegra.

Nie mam potrzeby szczegółowo omawiać wyliczonych powyżej spraw poszczególnych, książkę wypełniających, ani wniosków, które z nich wypływają, albowiem (tu nie można lekkiego powstrzymać uśmiechu...), albowiem to, co o sprawie żydowskiej mówią i myślą sami żydzi, przedziwnie zgadza się z poglądami polskiego obozu narodowego, tylekroć o tej sprawie na tych tu i na innych łamach wygłaszanemi... Myśl w myśl i pogląd w pogląd! Tajemnicę tej, napozór tak niewiarygodnej zgodności zrozumieć łatwo, gdy się zważy okoliczność, że dzieło p. Krasnowskiego zawiera przeważnie to, o czem żydzi w prasie hebrajskiej i żargonowej pomiędzy sobą rozmawiają, o co pomiędzy sobą spory wiodą, o czem pomiędzy sobą się powiadamiają. Jako nie przeznaczone dla „gojów", mogło być to i owo, a nawet wiele tego i owego omawiane z taką dozą szczerości, która do zrozumienia całokształtu politycznego myślenia żydów jest dla nas wystarczająca. Dla przykładu osądźmy przytoczone tu wynurzenia rabina Thona...

Książka p. Krasnowskiego wejdzie w skład każdego poważnego księgozbioru żydoznawczego, jako jedno z dzieł fundamentalnych. Nie może obyć się bez niej żaden działacz społeczny i polityczny, żaden pisarz polski, o szerszych sprawach kraju naszego myślący, żaden publicysta, żaden wyższy urzędnik państwowy i prywatny. W szczególności zaś wielkie ona da korzyści polskim działaczom sanacyjnym, a to bez względu na rangę, szarżę i stopień ich dostojeństwa. Jest to bowiem dzieło niepodejrzane z ich punktu widzenia, godne ich bezwzględnego zaufania, warte pilnego z ich strony przestudjowania. Jakkolwiek polskiemi rękami zebrane i w jedną całość ułożone, sądy i poglądy tego dzieła są czysto żydowskie, wprost z wnętrza ducha żydowskiego dobyte, a wiec aureolą najwyższego autorytetu dla owych ludzi jaśniejące.

Polski ruch wydawniczy małe naogół budzi echa zagranicą, ale dzieło p. Krasnowskiego powinno zaciekawić naszych towarzyszów broni: kraje sprzymierzne i stowarzyszone. Sprawy, które on omawia, rozgrywają się na całym obsrzarze rozproszenia żydowskiego, dotyczą zarówno Stanów Zjednoczonych A. P., jak i Francji, Anglji, Hiszpanji, Czech, Rumunji i tak dalej, a nawet Chin i Japonji. O Niemczech nie mówię, tam już bowiem sprawa cała weszła na tory działania państwowego. Co zaś do Rosji, to w jej granicach nawet żydowski, ale szczery głos o polityce żydowskiej miejsca fizycznego nie znajdzie: w tak głęboką niewolę zapadli nieszczęśliwi Rosjanie.

Na następnej poza kartą tytułową stronicy książka p. Krasnowskiego opatrzona jest podtytułem szczegółowym, mianowicie „swoistość metod polityki żydowskiej, jako wynik odrębności narodu żydowskiego". Wywnioskowałem stąd, że książka tu omówiona nie wyczerpuje całości materjałów, któremi autor rozporządza, ale jest początkiem dwu, a może kilku w tej sprawie dzieł przez autora zamierzonych. Jeżeli się w tym wniosku nie mylę, to trzeba, oprócz wdzięczności za tak wartościowy początek, wyrazić autorowi najżywsze pragnienie, ażeby w krótkim czasie obdarzył naszą literaturę dalszym ciągiem swojej pracy wieloletniej. Skoro w dobie, jak obecna, przełomowej żydzi znaleźli w autorze naszym tak pilnego czytelnika, zbieracza i tłumacza swoich rozpraw i myśli narodowych, to niechże i nadal przemawiają do nas za jego rzetelnem pośrednictwem! W Polakach — bez różnicy przekonań politycznych — będą mieli najbardziej zaciekawionych słuchaczów.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZE STUDJÓW OŚMNASTOWIECZNYCH

KRAKÓW NA TLE EPOPEI KAROLIŃSKIEJ

I

LATO 1697 r. „Stare mury Krakowa", — opisuje historyk — „patrzą... na tłumny zjazd szlachty, śpieszącej z pobliskich województw ku granicy cesarskiej, dla powitania (nowego) elekta w Piekarach"[1]). Poprzysiągłszy tam *pacta conventa*, pośpieszył August w 6,000 wojska ku Krakowowi i 31 lipca stanął w Łobzowie. Starosta krakowski, Franciszek Wielopolski, wzbraniał się zrazu przyjąć Augusta w mury zamkowe, ujęty jednak darami Sasa (miał za to dostać od „Mocnego" 5,000 talarów, żona zaś jego kosztowne bransolety, czy też naszyjnik z pereł), otworzył mu bramy..."

Przekupny burgrabia wawelski, a kolega w korupcji „żydowskich pachołków" z elekcyjnego pola wolskiego, klijentów firmy Lehmann, Wertheimer i Lämmel, pierwszy margrabia ze swego rodu, prapradziad zaś największego margrabiego, mąż łasej na naszyjniki czy bransolety Teresy Tarłówny, czekał na nowego króla (12 września) z kluczami u wrót zamku; biskup kujawski, Stanisław Dąbski (ordynarjusz miejscowy, Jan Małachowski, zmarł był podczas bezkrólewia) przed katedrą; rektor witał go w imieniu Akademji, magistrat w imieniu miasta, a rajcy *„suo ordine,*

[1]) Górny Antoni i Piwarski Kazimierz: „Kraków w czasie drugiego najazdu Szwedów na Polskę, 1702—1709", Kraków 1932, „Bibljoteka krakowska", nr. 77.

wziąwszy baldachim bogaty... nieśli nad królem Imcią aż do zamku". W rynku stały dwie bramy triumfalne, „na której jednej... na Bucefale *noviter coronatus* król Imć... jako niezwyciężony monarcha siedział."

II

Effigies ta królewska, „na Bucefale", zachowała się zresztą do dni naszych pod postacią sztychu, dołączonego do panegiryku Augusta, pióra kanonika Oślińskiego, a zachowanego m. in. w krakowskiem muzeum Czapskich. Młokosowaty monarcha pędzi na niej istotnie, na swoim „Bucefale", ponad Wawelem i innemi gmachami krakowskiemi, symbolicznie zaś i ponad Polską (po jej trupie).

Wygląda zaiste młokosowato na lat swoich dwadzieścia i siedem, ten świeżo upieczony „*Wiener Kavalier*", ten ciężki Sas, przeszczepiony zimą roku 1696/7 „*an die schöne, blaue Donau*". Prosto bowiem niejako z atmosfery wiedeńskiej, z obozów cesarskich, z salonów stolicy naddunajskiej, z *villegiatury* badeńskiej, z szalonych *raid*'ów konnych do Wiener-Neustadt, przybywa „Mocny" na krakowską koronację. Przywozi z sobą na Wawel, zamiast prawowitej pani, przyciężkiej Chrystjany Hohenzollernówny, rasową Wiedenkę, o krwi bardziej południowej, hrabinę Esterle z domu Lamberg, sadza ją na trybunie kościelnej, pośród asystujących aktowi koronacyjnemu wielmożów i dygnitarzy i paraduje przed nią w triumfie godnym Cezara. I staje ten Cezar — jak go po dziś dzień oglądamy wykapanym w sali koronacyjnej zamku królewskiego w Dreźnie — przed dostojeństwem koronatora-uzurpatora, prałata o Mazarinowskiem wejrzeniu i bródce, księdza Dąbskiego. Otaczają dwoje głównych tych aktorów stare lwy epopei Sobiescjańskiej, zabłąkani tu w matnię elekcyjną hetmani (zamach Augustowy okazuje się tak *pronunciamentem* militarnem): Jabłonowski z pod Lwowa i Potocki z pod Podhajec, a dalej—Słuszka, kanclerz Denhoff i podkanclerzy Tarło. Ale któż jest ten wdzięczny młodzian, co kroczy przed ołtarz w pochodzie koronacyjnym i zerka też pewnie, podkręcając wąsa, na obsypaną klejnotami i nie jemu jednemu z Polaków wpadającą w oko Esterlkę? To nie kto inny, jeno przyszły rywal improwizowanego dziś Rzymianina, inny król, inny antykról, przytomny koronacji Augustowej Stanisław Leszczyński.

III

Lato—w pięć lat potem — 1702 r. Warszawa zajęta: król prawowity znowu pod Krakowem, kwaterą w mogilskiem opactwie Cystersów, pod bokiem jego wojsko nowego hetmana Lubomirskiego i posiłki saskie Steinau'a i Schulenburga. Aż tu Kliszów, rozgrom Augustowy, hańba hetmańska, równa pilawieckiej i ucieczka króla. 21 lipca wpada więc „Mocny" ponownie do Krakowa, znużony i obdarty, wysiada w jednym z pałaców Wielopolskich, „pod Baranami", u owego zapewne koronacyjnego Efijaltesa i drugiej jego małżonki (nie tej od naszyjnika, ale dzielniejszej od tamtej, Anusi Lubomirskiej), popasa tu zaledwie dwa tygodnie, poczem zaś z całym dworem przenosi się do Sandomierza.

Od strony Bochni nadciąga tymczasem ku Krakowowi nowy Karol-Gustaw. W mieście szerzy się panika, ucieka się i wywozi skarby, przed zachłannością szwedzką, na Śląsk pobliski. 10 sierpnia wyrusza armja szwedzka z pod Staniątek (gdzie młody zdobywca stanął był kwaterą) i ukazuje się na Krzemionkach. Stąd też przeprawia się przez Wisłę Karol XII, w eskorcie 300-tu ludzi, pod wodzą Magnusa Stenbocka. Przy bramie Grodzkiej żąda Stenbock od Wielopolskiego natychmiastowego poddania się pod grozą spalenia miasta i rozpoczyna z nim przez wpółotwartą furtkę konferencję. „Podczas tego jednak, jeden z oficerów szwedzkich uderzył niespodziewanie Wielopolskiego kijem w głowę, a Szwedzi, korzystając z chwilowego zamieszania, wpadli wraz z królem do miasta". Biedny starosta, który pięć lat temu wpuścił był do powierzonego pieczy swojej miasta jednego intruza, musiał teraz ustępować, na łeb na szyję, przed drugim.

IV

Ten, kto taką radę dał Augustowi (opuszczenia miasta) — pisze współczesny, mając tu bodaj na myśli nieszczęśliwego, aresztowanego teraz przez Szwedów, starostę — „obawiać się, aby nie był *dolosus amicus* (podstępny przyjaciel) i ukryty nieprzyjaciel i radbym go widział, jak wyprowadzi nieprzyjaciela z Krakowa, raz go tam puściwszy. Jeżeliby zaś przyszło nieprzyjacielowi do tego opuszczać... Kraków, pewnie z niego tak wynijdzie, jak zły duch *ex obsessis* (z opętanych), że okno zawsze tłucze"...

Zły zaś ten duch wcielił się w marsową postać Magnusa Stenbocka, „gubernatora zamku i miasta Krakowa", „żołnierza" — jak o nim pisze pamiętnikarz Zawisza — „wielkiego.., tanecznika *galantuomo*, ale z tem wszystkiem dzikiego i ciężkiego na ludzi", a, jak sam się on określał, „gubernatora, komisarza i samego djabła miasta".

Szwedzi bowiem okazali się tutaj godnymi potomkami Wikingów. Jak Normandowie rabowali niegdyś kościoły rzymskie, tak teraz ich pra-prawnuki dobierały się do pamiątek „Rzymu polskiego", do klejnotów stołecznego miasta Krakowa. Sypały się więc do kabzy zwycięzcy przymusowo tynfy rajców miejskich, dukaty okolicznych ziemian, talary sztukmistrzów i jubilerów włoskich, grosze zakonów i szelągi Akademji; „nawet zapisany w „rejestrze" ubogi musiał płacić przynajmniej dwa tynfy". Dominikanie składali kacerzom wota srebrne, jak również *antepedium* od wielkiego ołtarza. „Przeor Karmelitów przyniósł kanclerzowi Piperowi monstrancję jako gwarancję i zastaw spłaty części sumy kontrybucyjnej: „gdy zobaczył, jak ten, gołemi rękoma, tam, gdzie hostja święta bywała, dotykać począł, zemdlał pobożny zakonnik".

Srożyły się te lutry zwłaszcza nad dobrami, kamienicami i skarbami duchownych; przetrząsały w poszukiwaniu za niemi katedrę aż do grobów królewskich; „kościół i dom Misjonarzy na Stradomiu obsadzili... wartą na skutek donosu, że tam ukryte są depozyta nuncjusza Pignatellego, posła cesarskiego Sinzendorfa, ...niektórych dostojników saskich i senatorów polskich". Pytali też gorliwie łupiezcy o depozyta biskupa-nominata krakowskiego Bokuma, zwłaszcza zaś o kosztowności siostry biskupa, faworyty aktualnej królewskiej, Urszuli Lubomirskiej, obsypywanej przez Augusta, jak skądinąd nam wiadomo, klejnotami. Wydał pod naciskiem Szwedów radca Szafałkiewicz, „że... u Panien Karmelitanek,

św. Marcina..., zaczem podał na sztych panny“ i klasztor splondrowano.

Rabusie pili też i jedli zdrowo: „sam Kleparz dostarczać musiał po 200 beczek wina codziennie“, a całe miasto złożyć musiało najeźdźcom 600.000 funtów mięsa, tyleż chleba, 12.000 funtów słoniny, 10.000 funtów tabaki, kwoty na poczęstunki i podarunki dla Stenbocka, Adlersteina, innych generałów i t. p.

V

Ogniem i mieczem pustoszyli zaiste Szwedzi— drugi już raz w ciągu półwiecza — Polskę. „Płacz, ścisk, narzekanie między ludźmi...„ --donosiła relacja z Krakowa już zaraz po wejściu najezdników—„dziś o godzinie czwartej popołudniu ma stanąć 400 żołnierzy z pochodniami, aby miasto zewsząd zapalili“. Istotnie, dwa dni później, 15 września, zajął się pożar w t.zw. „Kurzej Stopce“ i przybrał rozmiary ogromnej katastrofy, gdyż ogień w jednej chwili objął okoliczne komnaty, gdzie żołnierze szwedzcy naznosili (byli) mnóstwo słomy i siana. Przez trzy dni gorzał zamek (w samo pięciolecie hucznej koronacji Augustowej) na oczach zrozpaczonych mieszkańców Krakowa... Wypaliły się dachy, ramy okien, powały. Waliły się komory i gzymsy, spadały zapalone belki, druzgocąc sklepienia... Popękały z gorąca marmurowe kolumny, odrzwia, nawet kamienne schody. Złociste pokoje zasypane zostały rumowiskiem... Przez sobotę i niedzielę—opisuje relacja współczesna — ustawicznie w Zygmunta... bito, aby ogień ludzie zalewali..., księża, mieszczanie *et alii* (i inni)... wielkim płomieniem ogarnięci zgorzeli.., drudzy się chwytali krat żelaznych.. kiedy ich tak na kratach wiszących księża dysponowali... Ludzie katedry bardzo pilnowali i wodą zalewali. Krucyfiks cudowny chciano wynieść i zapędzono się po kilkakroć po niego, ale nadaremno.. Po wszystkich ulicach znalazłby był szeląg, taka była jasność... Patrzał król szwedzki, przybiegły z okolicy do miasta, na to dzieło zniszczenia, o namiestniku zaś jego i ocaleniu katedry przynajmniej wawelskiej nuciła późniejsza pieśń ludowa:

„Jakoż cudnie Bóg zachowa
Swój pokój od płomienia,
Za nic zdrada Stenbockowa,
Człowieka bez sumienia“...

VI

Dziewięć tygodni trwał pobyt okupantów w Krakowie, opresje magistratu i ludności, wędrówki od Annasza do Kaifasza, od Stenbocka do Pipera. Wypraszało się miasto, jak mogło, od ciężarów nowych: „kanonik katedralny i rajca musieli dać po pięć telarów; ksiądz świecki, rajczyna i bogatszy kupiec... po dwadzieścia tynfów, zakonnicy po piętnaście tynfów; ubożsi i ogół mieszczan po dziesięć f (enigów),... nakoniec zaś dziewki, chłopcy od piętnastu lat, kucharki po pięć...; ksiądz archiprezbiter Marji Panny 40 t (alarów)“.

To też wzdychało wszystkiemi porami miasto do pokoju i tłumnie śpieszyło na uroczystą „wotywę w kościele farnym w rynku..., urządzoną staraniem występującego w roli medjatora, między Augustem a Karolem, posła cesarskiego Sinzendorfa“.

Triumfator zaś Karol, ascetyczny, brudny, zaniedbany młodzieniec, przybywszy do grodu Kraka, zwabiony łuną pożaru i tu, jak później Napoleon jaki czy Konstanty, rozmiłowawszy się w animuszu kawalerskim Polaków, zaciągał chorągiew jazdy z nich złożonej i ubranej w uniform polski. W trzy dni po ogłoszeniu werbunku miał już król w szeregach swoich dwustu studentów krakowskich (nawet teologów). „Wyjechawszy (jednak) dla przeglądu tej nowej swej chorągwi, poza miasto, „na strzelnicę”, spadł król z konia i złamał nogę; rozeszły się nawet nieprawdziwe pogłoski o jego śmierci. Chorego króla złożono na czas kuracji w pałacu biskupim. Wkrótce jednak stan jego zdrowia... polepszył się i już dnia 9 października „dla uczczenia (króla) dwór jego odprawował komedję”.

Rozstanie Szwedów z Krakowem nie było czułe. Rabusie zabrali na pożegnanie działa miejskie, 34 „kolumbryn, które byli krwią dawni poniekąd Polacy nabyli od Moskwy, od Turków i... innych nieprzyjaciół... Gdy (zaś) rajcy udali się do króla z prośbą o pozostawienie armaty miejskiej, miał król odrzec porywczo: „Nic błaznom po niej, żeby darmo gniła...” Oficerowie zaś szwedzcy z otoczenia nie szczędzili obelg pod adresem Polaków, wołając: „a wam świnie paść, szelmowie, huncwoty, nie armaty wojować...” Gdy zaś mieszczanie dalej nalegali..., uniósł się Karol, wołając: „jacyście wy, taka i Rzplita wasza, z żydami wolałbym wojować, boby mi dali pole, niż z waszą Rzplitą”.

Naładowano więc 35 tych „kolumbryn” miejskich, wraz z innemi łupami, na tratwy i szkuty (większość tych armat krakowskich pójdzie, po śmierci Karola, pod młot licytacyjny i dostanie sie do... kolonij portugalskich). Króla wieziono w lektyce zaprzężonej w muły, „dla nogi jeszcze niewystałej”... O północy główne siły, przy odgłosie bębnów, opuściły miasto. Został jednak sam Stenbock z regimentem, gdyż, przy dokładnem obliczeniu okazało się, że brak jednego tysiąca talarów z sumy kontrybucyjnej 60 tysięcy... Po załatwieniu tej sprawy, Stenbock... wyszedł, nie zapomniawszy jeszcze po drodze wyegzekwować czterech tysięcy talarów na mieszkańcach Kazimierza.

VII

Miasto-wdowa zostało na chwilę samo. Ale niebawem rozpoczął się w niem nanowo obłędny taniec. Luty 1704 r. przyniósł do Krakowa po raz trzeci — Augusta. Przybył tym razem król w otoczeniu Przebendowskiego, Szembeków, Szczuki, Teodora Potockiego, Jana-Stanisława Jabłonowskiego, pod patronatem czuwającego nad przeprowadzeniem przymierza polsko-moskiewskiego, posła carskiego Dołgorukiego. W momencie nieomal warszawskiej detronizacji Augusta, w Krakowie tańczono wesoło („pod Baranami“ u Wielopolskich lub u Przebendowskich w „Krzysztoforach”) — król ze swoją Lubomirską „prowadził bal“. Ale, w pierwszych dniach marca, uciekł August ponownie, przed zbliżającym się od Częstochowy korpusem szwedzkim Rehnskölda, do spustoszonych również Niepołomic.

Nazajutrz po sromotnej ucieczce Sasa, wkroczyła na Kleparz awangarda wołoska starego Rehnskölda, ale zatrzymała się w mieście dni tylko kilka, ściągnąwszy z niego wszakże nową kontrybucję.

Rozpoczęło się „dwukrólewie” i towarzysząca mu w kraju niszczycielska partyzantka. I tak,

w sierpniu 1704 r., zaokupował Kraków zwykły bandyta magnat, Teodor Lubomirski, starosta spiski, pod koniec września połączył się tutaj z bratankiem zbuntowany również przeciwko Augustowi hetman Hieronim — Kraków w pełni stawał się domeną Lubomirskich. Ale szwagier hetmana, biskup-nominat krakowski Bokum, poseł duński Jessen i wszędywścibska może kochanka królewska, a również szwagierka hetmańska, księżna Urszula, wszczęli medjację *inter maiestatem et libertatem*, tak, że — 17 listopada — stanęła ugoda królewsko-hetmańska, uwieńczona uroczystem nabożeństwem u św. Szczepana.

„Już z pod Częstochowy wydał (był) August uniwersał, nakazujący miastu dostarczenie natychmiastowe środków żywności dla wojska, a to 15 000 sztuk sucharów, 150 wołów, 300 beczek piwa... (a — piwo „pili beczkami..., garncami gorzałkę" — pisze o tem wojsku współczesny). Nie mogąc w 24 godzin spełnić rozkazu, musiało miasto uciec się do przekupstwa. Za zwłoką w czasie, ofiarowano komisarzowi królewskiemu Mickiewiczowi 100 talarów, konclerzowi Szembekowi 100, a referendarzowi litewskiemu 90 talarów. Chciwy komisarz dał się miastu dość łatwo ugłaskać i sam wystąpił z żądaniem dla siebie pewnej kwoty pieniężnej, sukna na kontusz, bławatu na żupan i t. d."

Czwarty pobyt „Mocnego" w Krakowie przerwał się wyjazdem króla na karnawał do Drezna. Sasów zluzowali znowu niebawem Szwedzi Stromberga, którzy nałożyli na miasto nową kontrybucję (30 000 talarów). Na szczęście Stromberg wart był naszego Szembeka: „istotnie, za cenę pieniędzy, wina i materyj jedwabnych dla (niego)... uzyskało miasto zgodę na pewną zwłokę w zapłaceniu kontrybucji".

W październiku 1705 wysłał Kraków, pod naciskiem tegoż Stromberga, reprezentantów swoich na koronację Leszczyńskiego, koronację, dokonywaną, po raz pierwszy w dziejach polskich, w Warszawie (potem będzie tam koronowany również i drugi Stanisław).

Tym razem bawili Szwedzi w Krakowie miesięcy siedem. Potem zaś wrócił wygnany August i „ciężkie", — pisze pamiętnikarz współczesny — „opłakane, żadnem piórem dostatecznie nie wyrażone nastąpiły na ojczyznę naszą... czasy... Przez cały kraj przebiegały chorągwie polskie, jedne szermując w obronie Augusta, inne Leszczyńskiego, a wszystkie grabiąc i niszcząc kraj nie gorzej od najeźdźcy". I tak w grudniu wpadł do Krakowa „Achilles polski", starosta gnieźnieński Adam Szmigielski, partyzant-Augustowiec. „Kazał mieszczanom dostarczyć dla swojego oddziału chleba, piwa, śledzi, prochu, ołowiu, 10 postawów tuzinu granatowego, 30... pokładu granatowego, 10 czerwonego..." Ledwie odszedł Szmigielski, aż tu pojawiły się w województwie chorągwie z pod sztandarów Leszczyńskiego, zapędzając się również do miasta. „Ściągnęli krewcy Potoccy z rajców 5.000 srebrników „jako honorarjum", na co potrzeba było zastawić aż złotego „kura strzeleckiego" z klejnotami przy nim zawieszonymi. Potem, „jak Tatar", wypadł znowu na miasto, na czele Węgrów swoich, osławiony Teodor Lubomirski i wydarł mu 8.000 tynfów, ale, na wieść o nadchodzących podjazdach Augustowych (pod wodzą Rybińskiego), umknął szybko do swojego górskiego gniazda.

12 marca 1706 r. przybył nareszcie do Krakowa, na piąty pobyt, samże August i zamieszkał, jak poprzednio Karol, w pałacu biskupim, „poczem spędził ostatnie dni wielkopostne na rekolekcjach w klasztorze na Bielanach (!!!)". Święcone jadł w tymże samym pałacu, gdzie w dwieście lat potem tak piękne urządzał święcone kardynał Puzyna. Na resztę swojego pobytu krakowskiego zamieszkał jednakże w Łobzowie, gdzie był zatrzymał się już po elekcji, gniewny na miasto o udział w koronacji antyelekta. I za karę jakby spuścił król na Kraków sprzymierzeńczą szarańczę moskiewską. „Ci to byli pierwsi Moskwa"—notuje pamiętnikarz—„którzy w Polsce pomagali chleba jeść..., a założywszy komisarjat na Kazimierzu... komisarzem mieli żyda, Godfryda imieniem... W razie zalegania z pieniędzmi, dokonywali Sasi brutalnych egzekucyj, połączonych z demolowaniem kamienic". Sekundowali im zaś partyzanci-Polacy, jak Rybiński i późniejszy hetman Pociej. August kazał nawet, jak ostatnio Prusacy lub Austrjacy, zdejmować blachę miedzianą z gmachów publicznych i wywozić ją do Saksonji.

W grudniu 1706 r., szósty raz z rzędu, przemknął się „Mocny" przez Kraków, raz bodaj za życia już ostatni. Następnego zaś roku rozłożyli się znowu w mieście Kozacy, ale niebawem ustąpili stamtąd pod grozą zarazy, która nawet magistrat wypłoszyła do Niepołomic, trwała do końca roku 1708 i miała porwać do 20 tysięcy ofiar. I tak na Salwatorze (cmentarzu) „czterech grabarzy, dniem i nocą, nieustannie pracowało nad zakopywaniem ciał zmarłych".

W zimie, w końcu 1709/10, po ustaniu tej zarazy, wkroczyły w mury Krakowa ponownie wojska rosyjskie. „W kamienicy pod Baranami zamieszkał (teraz) utajony kandydat Piotra do tronu polskiego, carewicz Aleksy", otoczony licznym zdzierczym dworem i zabawił w Krakowie wraz z faworytą przez całe pół roku.

VIII

„Kraków u schyłku wielkiej wojny północnej"—stwierdzają dwaj jego najświeżsi historycy — „przedstawiał obraz zniszczenia i ruiny... Upadek miasta ujawnił się w pierwszym rzędzie w malejącej gwałtownie liczbie ludności. Czasy świetności za Zygmuntów, gdy miasto liczyło około 80 tysięcy ludności, należały już w wieku XVII do dalekiej przeszłości... Podczas gdy zawierucha wojenna, szalejąca nad Polską w XVII i na początku XVIII wieku, pochłonęła $^1/_3$ niemal całej ludności, Kraków utracił w latach jedynie 1702 — 1710 $^2/_3$. Z tego upadku miasto nie zdążyło się już podnieść w ciągu wieku XVIII. Dawna stolica królów spadła do rzędu małych miast prowincjonalnych... Jedynie utrzymujące się w znośnym stanie kramarstwo i karczmarstwo przechodziło w ręce żydów, którzy w tym czasie, mimo zakazów władz miejskich, a dzięki protekcji wpływowej szlachty, napłynęli dużą falą do miasta".

Habent fata sua... bella. Czy położenie sprowincjonalizowanego i zażydzonego do cna Krakowa po wielkiej wojnie nie przypomina położenia jego z czasów po wojnie północnej?

KAZIMIEZ MARJAN MORAWSKI

NA WIDOWNI

Od Brianda do Stawiskiego. — Zmaterjalizowanie Francji dzisiejszej. — Wspomnienie z przed lat czternastu.— Wieczna młodość narodu francuskiego.

JAK niezdrowa była atmosfera życia politycznego we Francji powojennej: od Brianda do Stawiskiego!... U wyżyn, w regjonie idej — pacyfizm: najwygodniejsza ewangelja, pouczająca, iż naczelną cnotą człowieka jest unikanie poświęceń, nie wyrzekanie się komfortu bezpiecznego bytowania, nie narażanie zdrowia i mienia dla ojczyzny. U dołu, w praktyce: polityka na usługach interesów finansowych, współdziałanie dygnitarzy z oszustami, podejrzane komendy z lóż wolnomularskich, skandal w Bayonne... Zmaterjalizowanie jako objaw powszechny. Cześć dla pieniądza i chęć użycia. Jakże łatwo, na podstawie stwierdzeń podobnych, wyrokować pośpiesznie o Francuzach dzisiejszych i układać najposępniejsze horoskopy!...

— — — — — — — — — — — —

Sięgam myślą do wspomnień z przed lat niemal czternastu: wiosna roku 1920. — Już od kilku miesięcy, jako kapral 30 pułk. piech. przebywałem na rekonwalescencji w Szpitalu Ujazdowskim; strzaskane ramię zrastało się i powoli powracało do władzy.

Pewnego popołudnia na salę, w której leżałem, przywieziono z frontu wołyńskiego rannego Francuza; był młody, wątły, wycieńczony z powodu upływu krwi przy amputacji nogi, którą odcięto mu wysoko ponad kolanem. Nazywał się Augustin Catel.

Historja jego życia była krótka. Jako siedemnastoletni chłopak, rodem z Hawru, dopiero w ostatnich miesiącach wojny światowej powołany został do szeregów i nie zdążył jeszcze udać się na linję bojową, kiedy marszałek Foch, po odniesionem zwycięstwie, dyktował Niemcom warunki kapitulacji w Réthondes.

Będąc z zawodu monterem samochodowym, Catel szkolony był w obsłudze technicznej czołgu, a gdy zapóźno już było wyzyskać nabytą umiejętność na polach Flandrji czy Szampanji, zaciągnął się jako ochotnik do organizowanej w tym czasie armji Hallera i z nią razem przywędrował do Polski. Kilka powodów skłoniło go do tej decyzji: niezgoda z macochą, z którą nie chciał zamieszkać znów pod jednym dachem, bezrobocie w rodzinnem mieście (tysiące zdemobilizowanych, powracających z frontu, pozostawało wówczas bez pracy), pragnienie poznania świata szerokiego, przygód i wrażeń, wysoki żołd, jaki płacono specjalistom-Francuzom.

Początkowo wiodło mu się jaknajlepiej, ale w którejś bitwie bolszewicki granat uderzył w maszynę, a ta, wywracając się, zmiażdżyła mu nogę. Tylko za cenę kalectwa na całe życie, udało się uniknąć gangreny.

Niewesoły był pobyt Catel'a w szpitalu. Współtowarzysze niedoli (było nas trzydziestu dwu rannych na jednej sali) wyraźną okazywali mu niechęć: mieli mu za złe jego „babską" niewytrzymałość, głośne jęki, nie pozwalające innym spać po nocach, ustawiczne domaganie się rozmaitych posług, którem zanudzał lekarzy i sanitarjuszów. Dawki morfiny, której ciągle żądał dla uśmierzenia bólu, powiększały jego zdenerwowanie. Co gorsza, nie mógł z nikim dobrze się porozumieć, wytłumaczyć, co mu dolega i czego pragnie, bowiem po polsku nauczył się jedynie paru nieprzyzwoitych przekleństw, które gniewnie, a bardzo zabawnie powtarzał.

Byłem jedyny, w całym pawilonie chirurgicznym, znający język francuski. Nic dziwnego, że w swojem osamotnieniu, Catel przylgnął do mnie, jak do przyjaciela i w codziennych, długich rozmowach czynił mnie powiernikiem swoich myśli i zmartwień. „Co za idjotyzm — wojna" — powtarzał nieustannie — „co za szaleństwo unieszczęśliwiać się na całe życie, niewiadomo, dla jakiej racji"...

W tym czasie właśnie chłonąłem urok idej nacjonalistycznych, z żarliwością, jaką się ma w wieku lat dwudziestu. Przy mojem łóżku szpitalnem, na żelaznym stoliku, obok ćwiartki chleba „fasowanego" i przynoszonych czasem z domu przysmaków, leżały „Myśli nowoczesnego Polaka" i „Egoizm narodowy". Zrozumiałe, że z Francuzem mym dyskutowałem „zasadniczo", ale on nie dawał się przekonać:

— „Wojny" — prawił — „potrzebne są tylko dla fabrykantów amunicji, dla nikogo więcej. A zresztą, co mnie to właściwie obchodzi, nietylko Polska wasza, ale i Francja... Alboż to nie wszystko jedno, dla mnie osobiście, czy w Hawrze panowaliby Niemcy czy Francuzi, byleby mieć zawsze na czem zarobić, interes szedł i dochody człowieka wzrastały?... Gdybym wówczas miał ten rozum, co dzisiaj, siłą żadną nie zmuszonoby mnie do wojowania. I nie mnie jednego tylko: nikogo we Francji. Drugi raz nikt już nie da się wziąć na patrjotyzm"...

Mijały tygodnie. Zbliżał się dzień wypisania mego ze szpitala i powrotu na front, skąd w owej dobie napływać poczęły coraz smutniejsze wieści o tragicznych następstwach klęski pod Kijowem. Catel również odzyskiwał zdrowie, był już zaliczony do „cywilów" i oczekiwał tylko na wykończenie protezy i pieniądze na odjazd do Francji.

W ciepły ranek siedziałem zasępiony w ogrodzie szpitalnym, odczytując w gazecie ostatni komunikat sztabu generalnego. Catel, zwolna podchodząc o kulach, uśmiechał się ironicznie:

— „Nieprzyjemnie, mimo wszystko, wracać do pułku..." — zagadnął — „Ja już z wojskiem zamknąłem swoje rachunki raz na zawsze"...

— „Nie o to chodzi" — odburknąłem ostro — „Zły jestem, bo dowiaduję się tutaj, że bolszewicy zajęli Włodzimierz Wołyński i dochodzą do Bugu"...

— „Do Bugu!"—zawołał zadziwiony — „Toż to jest już bardzo blisko Warszawy! Ja przejeżdżałem tamtędy... Położenie jest rzeczywiście poważne... Ale" — zamyślił się przez chwilę — „czołgiem można przecież kierować, chociażby nie mając jednej nogi... To nic nie przeszkadza. Tam się siedzi wygodnie, jak w samochodzie.. Potrafiłbym doskonale, naprawdę... Trzeba zgłosić się. Jutro właśnie mam stanąć do raportu w swoich sprawach"...

— — — — — — — — — — — —

Nie wiem, jakie były dalsze koleje młodego montera z Hawru, ale postać jego nieraz staje mi przed oczyma, ilekroć myślę o powierzchownych objawach rozkładu we Francji i o jej przedziwnej zdolności regeneracji. „Francja zawsze była ziemią przebudzeń i rozpoczynania od nowa" — pisał w sierpniu r. 1914 Maurycy Barrès [1]).

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Maurice Barrès: „*L'union sacrée*", Paris, 1915, str. 76.

GŁOSY

PRZEZ CAŁY ROK minister spraw zagranicznych nie zabierał głosu w Sejmie. Kiedy odezwał się nareszcie w poniedziałek ubiegły, przemówienie zabrzmiało, jak dalekie echo... przemówień, znacznie ciekawszych. Z pewnością Polak inaczej słucha p. Becka, niż np. Niemiec — kanclerza Hitlera. Najciekawszy w deklaracjach Hitlera jest ton osobistej odpowiedzialności za politykę, najciekawsze w p. Becku jest to, że jest on wykonawcą rozkazów marszałka. Nietylko to jedno pozbawia oświadczenia p. Becka tej ważkości, jaka cechuje słowa więcej samodzielnych mężów stanu. I nietylko brak talentu słowa u przemawiającego sprawił, że oświadczenie wydało się więcej protokularne i suche, i może mniej indywidualne, niż np. enuncjacje lub wywiady Hitlera, Litwinowa, Piłsudskiego. Sedno rzeczy w tem, iż przemówienie ministra było w stosunku do biegu zdarzeń, i deklaracyj złożonych przez kierowników polityki zagranicznej w ościennych dyktaturach, tak spóźnione, że w istocie swej niewiele więcej mogło zawierać, nad przytaknięcie ich słowom i rejestrację wypadków, które w tym czasie państwu naszemu się przytrafiły. Rejestracja ta oczywiście niczem nie przypominała jakiegoś politycznie twórczego aktu. Nie była też wcale równoznaczna ze stwierdzeniem, że w ciągu roku ubiegłego polska polityka zagraniczna wykazała szczególniejszą aktywność i inicjatywę. Zaszły wprawdzie w tej dziedzinie zmiany ważne. Utrwaliły się dobre stosunki polsko-rosyjskie; między Polską a Niemcami zaś szczęśliwie zapoczątkowano okres form współżycia lojalniejszych, więcej godnych rycerskich narodów od niestosownych metod szkalowania i lekceważenia. Zmiany to, powtarzamy, pomyślne i ważne; ale nie dokonały się naskutek inicjatywy z polskiej strony. Nie pozostawiły co do tego żadnej wątpliwości ostatnie oświadczenia odpowiedzialnych kierowników polityki Rosji i Niemiec. Oni mieli inicjatywę w rękach, myśmy wtórowali. Że zdolność do stwarzania nowych faktów nie będzie cechą wybitną naszej polityki zagranicznej, o tem wiedzieli wszyscy, którzy zapamiętali sobie charakterystyczną formułę p. Becka z zeszłego roku: „Nasz stosunek do Niemiec będzie taki sam, jak ich do nas“. Wyraźnie wyznaczono tu polityce polskiej rolę wtórną i w tej roli umiano przez rok wytrwać. Rzecz charakterystyczna, że przed rokiem kierownictwo naszej polityki zagranicznej nie wiedziało zupełnie, czego się po Niemczech hitlerowskich spodziewać. „Kiedy poprzednim razem mówiłem w parlamencie o wzajemności stosunków polsko-niemieckich i ich wzajemnem oddziaływaniu, to proszę mi wierzyć, nie miałem wcale na myśli wyłącznie negatywnej strony tej formuły” — skomentował p. Beck swoje słowa *ex post.* Jeśli obecny na posiedzeniu komisji poseł Radziwiłł uwierzył temu zapewnieniu, to w duszy musiał przyznać, że przed rokiem sam zupełnie inaczej powyższą formułę rozumiał. W dyskusji przedewszystkiem powinszował wtedy ministrowi... spokoju. „Uwypukla się“ — stwierdził — „wielki spokój i opanowanie, z jakiem przemówił nasz minister spraw zagranicznych. Pragnę powinszować p. ministrowi tego spokoju“—ciągnął, i zaraz w sposób niezwykle mało kurtuazyjny dopowiedział słuchaczom, czego sam minister im nie zwierzył: „Od pewnego polityka polskiego słyszałem zdanie, że dojście Hitlera do władzy nie jest dowodem wielkiego jego genjuszu, lecz raczej upadku i demoralizacji jego kraju. Podzielam ten pogląd...“ Zacytowane słowa prezesa komisji dają miarę trafności przewidywań, które przed rokiem były punktem wyjścia dla polskiej polityki zagranicznej. Równie błędne mniemania o Niemczech hitlerowskich były wtedy wprawdzie w Europie dość rozpowszechnione. Ale niewłaściwe jest, aby najmniejszą zdolność orjentacji w tych rzeczach okazywał prezes sejmowej komisji spraw zagranicznych.

OD SUCHEJ TREŚCI *exposé* odbijała jaskrawo dość nieszczęśliwa metafora, którą posłużył się mówca dla zobrazowania obecnych stosunków Polski ze sprzymierzeńcami. „Z zadowoleniem stwierdzić mogę“ — zakomunikował min. Beck dobrą nowinę — „że nasze przyjaźnie i dawne, w trwałą formę ujęte stosunki zdają egzamin w świetle nowych wydarzeń. Mam tu na myśli przymierza z Francją i Rumunją, pochodzące z początkowego okresu istnienia wskrzeszonego naszego państwa“. — Wszystkim, co rozumieją potrzebę ciągłości i sensu w polityce zagranicznej musiało się to wydać niezręczne i niestosowne, że polityka polska podstawowe swoje przymierza tak bierze na egzamin, jakby z ciekawości, co będzie: zdadzą go, czy nie zdadzą? W takim stosunku do przymierzy, nie fantazyjnie przecież zawartych, lecz będących kamieniem węgielnym całej naszej polityki zagranicznej, jest jakaś zasadnicza pomyłka. Minister, który to mówił, stanowczo w stosunku do naszych sprzymierzeńców nie umiał znaleźć właściwego języka. Źle jest, jeśli nienaruszone trwanie polsko-francuskiego przymierza może być niespodzianką, tak radosną jak to, że Staś dostał na egzaminie trójkę z plusem zamiast dwójki. Mówiąc o sprawach tak ważnych, jak przymierze, trzeba wystrzegać się metafor, które zalecają się swą łatwością, i niczem więcej. Branie przymierza na egzamin jest czemś o wiele bardziej niedyplomatycznem, niż np. branie na egzamin ministra spraw zagranicznych ze znajomości języków obcych. Cóżby było, gdyby premjer z ulgą i zadowoleniem oznajmił, że oto jego kolega zdał taki egzamin pomyślnie? Czy na opinję wieść taka podziałałaby budująco?

Wprawdzie *exposés* ministerjalne pisane są przeważnie tak niliterackim językiem kancelaryjnym, że mając to na uwadze, nie należałoby zbyt dużej przywiązywać wagi do usterek, mających swe źródło w stylistycznej niezręczności. W danym razie wydaje nam się jednak, że mamy do czynienia nietylko z usterkami stylu. Polska nie znajduje się w takiem położeniu, żeby mogła sobie pozwolić na partolenie przymierzy. Niema dzisiaj kraju w Europie, któryby stać było na taki luksus.

NIEPORZĄDEK. Ma się rozumieć, w Sejmie. Mówi poseł Żuławski:

„Czy nie jest złe, jeżeli brat premjera z oficera czynnego zostaje wiceministrem, że drugi brat drugiego jest też wiceministrem, a szwagier, znam go, poczciwy, dobry, o bardzo przeciętnej umysłowości, którego całem szczęściem było, że się ożenił z córką ministra, został naraz

prezesem Sądu Apelacyjnego w Krakowie, a zwykły sędzia w Wilnie, poczciwy człowiek, zostaje ministrem, później wicegubernatorem Banku Polskiego, a drugi brat ze zwykłego urzędniczka w magistracie wileńskim zostaje potentatem finansowym m. Wilna. A ostatnio zwyczajny sobie dyrektor kolei w Krakowie robi karjerę urzędową tylko przez swoje konensje i ożenek...“

Marszałek: „Wzywam pana posła do porządku z zapisaniem do protokułu“.

Tak zakłóca się porządek i tak przywraca. A największa porządnicka, „Gazeta Polska“, która skrupulatnie wszystkie bezładne wzmianki o szwagrach i braciach pomija...

KRASZEWSKI NA SZLAKACH REJA

SZCZĘŚLIWA próba naśladowania języka i stylu Mikołaja Reja, podjęta przez Nowaczyńskiego w doskonałym biograficznym „Wizerunku“, znalazłaby literackich poprzedników. Jest to interesujący rozdział w dziejach sławy pozgonnej Reja: żywa pochwała potomności. Świadome nawiązanie maniery językowej do pism pierwszego polskiego literata wyraziło pamięć następców; walor twórczy Reja uzyskał jedno jeszcze świadectwo. „Wizerunek“ Nowaczyńskiego, skreślony w roku jubileuszowym (1905), zastanawia tu obszarem i konsekwencją dzieła, które ominęła bodaj dotychczas analiza filologiczna. Trud nie pozostanie próżny! Więcej przykładów podobnych znajdziemy w wieku XIX; czasy to znacznej popularności mistyfikacji literackiej, wyzyskującej na podziw chętnie zamiłowania staropolskie. Archaizm stylu i obyczaju, uzasadniony gustem i modą epoki, święci powszechne triumfy. Zaleski np. pisze do Siemieńskiego: „Masz woń jakąś w stylu i mowie, co przypomina zamierzchłe czasy“. Woń ta unosi się w powietrze pospolicie. Teorja i praktyka literacka, o czem trudno przy okazji aktualnej rozprawiać, znalazły wiele argumentów na obronę owego zwyczaju. Życie staropolskie, odgrzebywane troskliwie z druków, rękopisów i żywej pamięci tradycji, wskrzesło całe: wraz z ludźmi i ich mową. Odkryto Babin, Paska, odkryto nieznany świat. Reja, o którym zapomniała potrosze literatura stanisławowska, pokazał współczesnym Brodziński: jakim był — ojciec narodowego piśmiennictwa. Odtąd sympatje rejowskie odzywają się raz po raz. Wójcicki zanotował gdzieś tradycję, że sam Osiński zabawiał salony warszawskie naśladowaniem w słowie, stylu i języka autora „Zwierzyńca“. Wszystkim się pomysł podobał.

Z gotowych więc wzorów epoki korzystał J. I. Kraszewski, chętnie wyrażający upodobania czasów, które przeżył, — gdy w wileńskim „Bojanie“ ogłaszał w r. 1838 stylizowaną opowieść „Jako Satan kusił pustelnika na puszcze“. Legenda owa skomponowana jest jak relacja, którą włożył autor w usta Mikołaja Reja na zgromadzeniu babińskiem; niby wyjątek z protokółów pana Pszonki (kodeks babiński znany był już wówczas częściowo, z fragmentów Szaniawskiego). Treścią legendy, której towarzyszyła pomysłowa oprawa, uczynił Kraszewski *exemplum* moralne, wyzyskane artystycznie bardzo szczęśliwie, opowiadające losy pewnego pustelnika. Święty ten pustelniczek, zapragnąwszy raz rzeczy ziemskiej (konia) dostał się w moc szatańską. Musiał djabłu przyrzec spełnienie jednego z grzechów (pijaństwo, cudzołóstwo, morderstwo). Wybrawszy pierwsze, z łatwością dokonał dwu pozostałych. Treść owa zdawała się prowadzić do zbiorów żywotów świętych czy kazań, zgodnie ze wskazówką samego autora. Nie treść jednak, lecz efekt artystyczny zaciekawi dzisiejszego czytelnika. Wątek legendy, stylizowany z dużą kulturą literacką na modłę staropolską, do złudzenia naśladował bieg rejowej mowy i składni. Najmniej konsekwentna okazała się ortografja, niezawsze fortunna, którą znamy z dwóch redakcyj: pierwodruku i „wyboru pism“ Kraszewskiego z r. 1890. Teksty oba ujawniają bogaty materjał porównawczy. Nietrudno także wskazać niejakie potknięcia się w konstrukcji form staropolskich — literatowi, który w wielu dziedzinach był inteligentnym dyletantem. Natomiast zastanawia słownik archaiczny legendy, dobywający szereg obumarłych znaczeń; wina epoki, nie autora, jeśli w zasobie wyrazowym tekstu napotkane ślady djalektów polskich, — czasy myliły perspektywę. Z tem wszystkiem koloryt rejowski utworu okazał się niewątpliwy; obserwacja Kraszewskiego nie zawiodła. Rozeznajemy wierzytelny tok mowy autora „Zwierciadła“ z licznych zdrobnień językowych, użytych jednak w miarę i umiejętnie. Wogóle trafnie uchwycił Kraszewski barwę rejowskiej gawędy, która rada przebiera w wyrażeniach potocznych i pospolitych, nie zna precyzji i celności słowa, chętnie powtarza, nawraca, gromadzi synonimy. To wszystko u Kraszewskiego jest z Reja.

Fraszka Kraszewskiego, którą zawdzięczamy chwili szczęśliwej, nieraz zwracała uwagę badaczów. Jej walorom literackim przyjrzał się P. Chmielowski i kilkakrotnie o nich mówił. Wątek noweli z punktu widzenia etnografji badał w „Wiśle” H. Łopaciński. Źródło pomysłu Kraszewskiego pozostało jednak nieodsłonięte. Dzisiaj rzecz podjął raz jeszcze prof. Jan Janów w rozprawie: „*Exemplum* o czarcie wiodącym do zbrodni przez opilstwo“, „Lud“, serja II, tom XI (r. 1933). Erudycyjne wywody badacza motywów literackich o prowenjencji ludowej, polsko-ruskiej, umieściły legendę Kraszewskiego na tle porównawczem wątków, podobnych i analogicznych, z folkloru słowiańskiego i obcego. Źródłem pierwotnem opowiadania był Wschód, jakkolwiek do nas przywędrowało ono z Zachodu. Opracowane nieraz w literaturze, pochlubić się może piórem Tołstoja. Szereg warjantów tradycji, których związki i zależności autor pracowicie ustala, wskazują bogatą genealogję *exemplum*. Badania prof. Janowa rozjaśniły ostatecznie źródło Kraszewskiego. Prowadzi ono wgłąb staropolszczyzny, do wieku XVI. gdzie zna legendę Powodowski, oraz wieku XVII, gdzie tradycję powtórzył Starowolski w „Robaku sumienia“, 1637. Katalog bibljoteki Kraszewskiego, ogłoszony drukiem, zawiera właśnie książkę Starowolskiego, co wątpliwości ostatecznie rozstrzyga. Wszystko razem oświetla interesująco lekturę autora „Starej baśni”, i świadczy o jej szerokim zasięgu.

Niedawna rozprawa prof. Janowa wywołała te szczegółowe przypomnienia, których czytelnik może nie ominie z uwagi na — Reja i Kraszewskiego.

E. P.

NAUKA I LITERATURA

NOWA POWIEŚĆ A. GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

POWIEŚĆ A. Grzymały-Siedleckiego „Miechowiec i Syn" należy do najwyższej kategorji zjawisk w naszej literaturze powieściowej. Wartość tę zawdzięcza nie tylko artyzmowi tego niepospolitego pisarza, ale też i tematowi bardzo głęboko ujętemu. Akcja powieściowa toczy się w kulisach miasta pomorskiego, niewątpliwie w Bydgoszczy, którą autor zna dobrze, a co do czasu w latach powojennych, po roku 1920.

Jakby prawem kontrastu w tej starej dzielnicy, w mieście handlowem, zniwelowanem w kulturze obyczajowej do poziomu mieszczańskiego, gospodarnem, rachunkowem, pracowitem—osiadła w dużej ilości szlachta dziedziczna wiejska, z dawnych kresów wschodnich, które się znalazły, po traktacie Ryskim, w Sowietach. Szlachta owa, niegdyś zamożna, po pańsku żyjąca, znalazłszy się bez domu i majątku, szuka przytułku w starej Polsce.

Siedlecki, umiejący patrzeć w zjawiska społeczne narodowego charakteru, wziął za temat swego studjum powieściowego to niezwykle interesujące zdarzenie historyczne. Jak się stykają z sobą, jak godzą dwa, tak biegunowo różne typy kultury polskiej? Jak przylegają do siebie, jak się przenikają, co mogą dać sobie wzajemnie, co jest wspólnym językiem ich dusz? Temat bardzo trudny, wymagający studjów i dużego zasobu wiedzy o społeczeństwie. Kresowcy,— to szerokie natury, wybujałe w stepowej niemal wolności, nie wytarte społecznie, jak mieszczuchy, zwłaszcza tresowane w kulturze niemieckiej, niwelującej indywidualności. Zdawałoby się, że kresowiec-ziemianin, który z dziada pradziada dziedziczył, nie nawykły mozolić się i zabiegliwością jutra zdobywać, będzie się czuł obco w tak nowem dla siebie środowisku. Siedlecki sprezentował nam kilka typów tych ludzi; każdy z nich walczył indywidualnie z niedolą swoją inaczej, ale wszyscy czuli się na Pomorzu dobrze. Poczuli na sobie atmosferę starej, dobrej cywilizacji narodowej, wspólnej wszystkim Polakom. Spotkanie tych dwu żywiołów obserwujemy za sprawą Siedleckiego na terenie hurtowni kolonjalnego handlu p. f. „Miechowiec i Syn". Znalazła tam posadę hr. Eliza Korosteńska, zataiwszy swój tytuł. Niepospolita kobieta stała się dobrym duchem firmy w czasach nadchodzącego kryzysu. Kocha się w niej młody Miechowiec i ta miłość jest wątkiem dramatycznej opowieści, tem zawilszej, że i stary Miechowiec pragnie ją wziąć za żonę. Historja ta daje autorowi sposobność roztoczenia przed czytelnikiem bogactwa obserwacji psycho-socjologicznej, dokonanej zarówno w środowisku Pomorzan, jak i kolonij napływowej szlachty. Przepyszne są typy pomorskie Miechowca starego i jego pomocnika, Kondrackiego) pewnego rodzaju pomorska fatamorgana Wokulskiego i Rzeckiego z „Lalki" Prusa). Poza tem przebogata galerja odmian charakteru dodatniego, jak hr. Korosteński, wykolejony Petronjusz, ale najwspanialej wypadła osobistość starej Worożeńcowej, dawnej magnatki, a tutaj ofiarnej służebnicy w stołowni ubogich emigrantów. Nie brak też typów patologicznych, jak młody Worożeniec, obłąkany, a nawet kryminalnych. Ze wszystkich jednak postaci Siedlecki umiał wykrzesać iskrę Bożą, jakby dla pokazania, że wszystkie one mają w sobie podstawy dobrej cywilizacji.

Piękna powieść Siedleckiego zasługuje na szeroką poczytność. (W.)

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Akademja Literatury w Warszawie uradziła, że uroczysty obchód stulecia „Pana Tadeusza" urządzić powinna Akademja Francuska, ponieważ Mickiewicz pisał to dzieło w Paryżu. *Locus regit actum* — tak objaśnił rejent Leśmian. Aliści wysłany w tej sprawie do Paryża sekretarz generalny Kaden Bandrowski tak niejasno się tłumczył, czy też tak zaćmił Mickiewicza swoją osobą, że literaci francuscy urządzili jemu uroczystość. Bohaterem jego powieści jest także Pan Tadeusz, Kaden sam jest największym pisarzem polskim. Nie zrozumiano, kiedy mówił o sobie, a kiedy o Mickiewiczu. „Gazeta Polska" zamieściła szereg telegramów o triumfach Kadena. W czepku się rodził!

*

W paryskiej „*Liberté*" (2. II. b. r.) p. R. Marin zamieścił wywiad z przybyłym do stolicy Francji sekretarzem Polskiej Akademji Literatury, p. Juljuszem Kaden-Bandrowskim. Oto wrażenia dziennikarza:

„P. Juljusz Kaden-Bandrowski jest ciekawym człowiekiem. Wyobraźcie sobie k l a s y c z n y t y p c z ł o w i e k a i n t e r e s u, włóżcie mu na nos binokle, będziecie wtedy mogli mieć pojęcie o znakomitym powieściopisarzu polskim...

...W pierwszej chwili odczuwa się pewien zawód: spodziewaliśmy się zobaczyć pisarza (*un homme de lettres*), którego typ, w naszym kraju jest wyraźnie określony. P. Kaden Bandrowski przyjmuje was z uprzejmością nieco prostacką zarządcy spółki (*de l'administrateur de société*)"...

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Zakładu Narod. im. Ossolińskich wydało nowy tom poezyj K. I ł ł a k o w i c z ó w n a p. t. „Ballady bohaterskie". Są tam, w tej książce, obejmującej 200 stron, również „ballady zwyczajne", z których najpiękniejsza bodaj znajdzie się w grupie sylwet kobiecych służby (pokojówek i kucharek). Naogół tytuł książki tłumaczy się tem, że wszystkie utwory oparte są na pierwiastku epicznem. W grupie ballad bohaterskich mamy sześć o Władysławie Warneńczyku, 9 o Barbarze i Auguście, 4 o Czarneckim, 4 o Żeligowskim, 9 ballad Belwederskich. Bardzo interesujące są obrazki z podróży po Czechosłowacji. Śmiałość form walczy o lepsze z dosadną obrazowością słowa i błyskawicznością charakterystyki. (W).

*

W jednym z numerów „Myśli Narodowej" czytaliśmy niedawno piękny przekład epigramatów Omara Chajjama, dokonany przez Marylę Wolską i Michała Pawlikowskiego, a oparty na słynnym angielskim przekładzie Fitzgeralda. Czy aktualność kryzysowych dni, które mocno w duchu Omara Chajjama nastrajają człowieka, czy też inny jakiś zbieg okoliczności sprawił, że otrzymaliśmy w tymże roku 1933 drugi jeszcze przekład epigramatów perskiego poety, tym razem dokonany wprost z oryginału. Tłumaczem był świetny orjentalista, ś. p. Andrzej Gawroński, który już dawniej przekładami Petöfiego i Aśwagoszy dowiódł, że był nietylko wielkim uczonym, ale i utalentowanym poetą. A do przekładu Omara Chajjama potrzeba naprawdę pióra biegłego, bo inaczej subtelność jego myśli zatracić się może doszczętnie. zwłaszcza że myśli te wyrażone są nader zwięźle, w specjalnego typu czterowierszach (rubajat), z których trzy wiążą się wspólnym rymem. Jak widać z dat, umieszczonych pod tekstami, przekłady te powstały na schyłku życia tłumacza, w czasie, gdy zmagał się on z ciężką, trawiącą jego organizm chorobą; nie dziwota, że umiał się tak doskonale wczuć w nastroje oryginału. Nastroje te określili wydawcy zbiorku (prof. J. Czekanowski i J. Kuryłowicz) jako sceptyczne i pessymistyczne; określenie to może idzie za daleko, gdyż w utworach Omara często słychać afirmację życia, pewną nawet radość z niego; w tym względzie ma Omar Chajjam dużo wspólnego z Horacym, zwłaszcza że i on, wbrew mahometanom, nie wyrzeka się wina...

Artystycznej formie przekładu odpowiada i artystyczny wygląd książki; papier, czcionka, układ graficzny, winiety wzięte z ornamentów muzułmańskich — wszystko to świadczy o smaku inicjatorów tego wydania. Zakładowi Nar. im. Ossolińskich powinszować można tej publikacji. (J. B.).

*

Dużo się teraz u nas mówi i pisze o Palestynie, o tej ziemi obiecanej, do której ani rusz wszyscy żydzi nie chcą wyjechać. Na tem miejscu omawialiśmy książki Ossendowskiego i ks. J. Kłosa, poświęcone opisowi tej ziemi i panujących w niej stosunków. Stosunki te plastycznie i ciekawie opisał Wacław Filochowski w szeregu kapitalnych artykułów, które powinnyby jaknajprędzej wyjść w edycji książkowej, byłby to materjał pierwszorzędny.

Książka p. Zofji Kossak-Szczuckiej „Pątniczym szlakiem" (Księg. Ś. Wojciecha, Poznań) zajmuje się nietyle dzisiejszą Palestyną, ile jej przeszłością. Ks. Kłos i inni pisarze — pątnicy przeważnie za cel główny obierali kroczenie śladami Chrystusowemi. Autorka „Legnickiego pola", przy-

gotowująca obecnie wielką powieść o Krzyżowcach, zatrzymuje się najdłużej na śladach Joannitów (na Rodos), czy na Hattin, gdzie rycerze Krzyża ostateczną ponieśli klęskę, czy przy kolumnach, gdzie tu i owdzie wyzierają ryte mieczami ich podpisy. A centralnym punktem całej książki jest opowiadanie o ubogim pielgrzymie, Piotrze z Amiens, o krwawym pochodzie pierwszej krucjaty. Dzieje Grobu Chrystusowego opowiada Szczucka nader zajmująco — szczególnie ciekawe są wiadomości o „odbudowie" grobu, podjętej przez rząd carski w XIX w., a mającej na celu zacieranie śladu łaciników, Gotfryda z Bouillon i Baldwina. Odbudowa miała ten skutek, że dziś koło Grobu znajduje się szpetna i tandetna kaplica prawosławna, przypominająca prowincjonalną cerkiewkę „*kazionną*", a odźwiernymi przy grobie są muzułmanie... Słusznie autorka woła, że dziś ten stan rzeczy powinien się już wreszcie skończyć.

Poza Ziemią Świętą zwiedziła Szczucka i opisała także i kraje, przez które przejeżdżała. Ze względu na temat przygotowanej powieści zainteresowały ją przedewszystkiem dwie miejscowości: Aleksandrja i Konstantynopol. Pomimo krótkiego pobytu w obu tych miastach zdołała odrazu ogarnąć w nich wzrokiem to, co najważniejsze: w Aleksandrji jarmarczny zgiełk ulicznego życia, w Konstantynopolu wartość dawnych zabytków cesarskiego Bizancjum, ordynarnie shańbionych i przysłoniętych przez dzicz turecką. (J. B.).

*

Życie Mickiewicza, choć już tylokrotnie na różne sposoby opowiadane przez różnych uczonych i mniej uczonych pisarzy, gawędziarzy czy poetów, długo jeszcze budzić będzie powszechne zainteresowanie. Nie był to bowiem bynajmniej „jeden (!) łatwy żywot", owszem prawdę zawierało określenie: „życie jego—trud trudów". Takie to, nie „ułatwione", żywoty zostają długo w pamięci potomnych, dają całym pokoleniom tematy do coraz to nowych rozważań. W tem właśnie, nie w pikantnych anegdotkach, jest żywotność niepożyta ludzi takich jak Mickiewicz. Ci ludzie pracowali za całe pokolenia i dla całych pokoleń. „My z niego wszyscy"—mówił o Mickiewiczu Krasiński.

Pierwszym chronologicznie życiorysem poety były własne jego dzieła; w każdem z nich zostawił nietylko „cząstkę swej duszy", ale i kawał własnego życia. Całkowitą autobiografję raz tylko nakreślił — w sposób genjalnie zwięzły i przejrzysty: w wierszu „Polały się łzy me". Wspominał tam wśród klęsk wieku męskiego swe „dzieciństwa sielskie, anielskie" i „młodość chmurną a górną". Te bowiem lata młode ukształtowały go w mężczyznę i wielkiego człowieka. „Kraj lat dziecinnych" pozostał na zawsze podstawą wszystkich jego działań w życiu.

Ten kraj pięknie nam przedstawił niedawno W. Borowy w gruntownem studjum „Nowogródczyzna Mickiewiczowska" (w zbiorze „Kamienne rękawiczki" nakł. Instytutu literackiego), zaś młodość poety pobudziła dwie zdolne pisarki do napisania żywych i przystępnych utworów dla młodzieży. Helena Romer-Ochenkowska, wilnianka, wyborna znawczyni folkloru swych stron rodzinnych, dała prześliczny, za serce chwytający obrazek p. t. „Wigilja państwa Mickiewiczów" (Wilno, księg. Chomińskiego), w którym obok motywów z utworów samego Mickiewicza zużytkowała i przekazane przez tradycję wiadomości biograficzne, a wszystko to przepoiła gorącem uczuciem i żywą fantazją. Bardziej „objektywnie", a przytem w chronologicznym, nie wizyjnym, porządku, ale również przystępnie i potoczyście opowiada o Mickiewiczu Anna Lewicka w przeznaczonej dla dzieci książce „Z młodych lat wieszcza" (Warszawa. Książki różowe i błękitne). Nie stroniąc i od anegdotek (o owym djable w Damaszku), ma autorka przedewszystkiem na oku cele pedagogiczne, głównie zaś patrjotyczne. O ile nas pamięć nie myli, miła ta książeczka była wydana już dawno przed wojną, teraz jednak, mimo zmienionych warunków narodowych, przemawia równie żywo jakby przemawiała wtedy. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WINCENTY DRABIK

GDY artysta przychodzi, jako pracownik, na określony teren sztuki, która ma już swoją przeszłość, a więc i kulturę, zadanie jego jest w pewnej mierze ułatwione. Kształcące go wzory przeszłości bliższej lub dalszej, przykłady dorobku współczesnych mu, wreszcie sama atmosfera środowiska artystycznego, w którem tkwi, dają początkującemu mocne oparcie, pozostając nie bez wpływu na ukształtowanie jego własnej twórczości. Inacej ma się rzecz z chwilą wkroczenia na pole jeszcze nie uprawne: artysta nie ma oparcia, jeno w sobie musi odrabiać zaległości, prostować nowe drogi, czy chce, czy nie chce — staje się pionierem. W jego poczynaniach wiele nieraz błędów i naiwności — pamiętajmy, iż nie korzysta z doświadczenia poprzedników — zato dzieje jego pracy najściślej wiążą się z historją rozwoju uprawianej przezeń gałęzi sztuki. On sam ją przecież tworzy i na jej bieg wpływa, bardziej, niż inni, we wszystkich innych okolicznościach; kolejności zmian, jakie w niej zaszły, odzwierdziadla urabianie się jego poglądów. Obraz sztuki, w pełni rozwoju będącej, możemy słusznie rozpatrywać jako rezultat działalności zbiorowej, natomiast szkic zaczątków wielu działów plastyki często będzie się całkowicie pokrywał z twórczością indywidualną tego lub innego artysty. Tak właśnie i z Drabikiem. Pisząc o tym artyście, którego poczynania, w latach młodzieńczych, zbiegają się z powstaniem i rozwojem działu dekoracji teatralnej u nas, nie sposób nie omawiać jednocześnie procesu stopniowego dojrzewania sztuki teatru. Koncepcja dekoracji indywidualnej, t. zn. robionej dla każdej sztuki oddzielnie, powstała stosunkowo niedawno. Drabik zaczynając swą praktykę, w Krakowie, zastał tam właśnie dekoracje-szablony, robione na zamówienie w Wiedniu, nie do jakiegoś określonego utworu, a wogóle do szeregu najczęściej spotykanych w sytuacjach scenicznych wnętrz lub widoków otwartej przestrzeni. Były więc tam rozmaite buduary, salony, zimy, lata, lasy, ogrody, i t. d. Pierwsze dekoracje stanowiły przeto próbę dokładnego odtworzenia środowiska sztuki i dania utworowi plastycznego tła, według wskazówek w nim zawartych. Ta ścisłość długi czas była oczywiście ścisłością wyłącznie zewnętrzną, dbano przedewszystkiem o szczegóły, uwypuklając je naturalistycznie, nie starając się uczynić z dekoracji w i z u a l n e g o d o p e ł n i a n i a dramatu, które działaniem form i barw odpowiadałoby mu w wyrazie i nastroju.

W okresie rozwoju sztuki „stosowanej" pojęcie wartości dekoracyjnej przedmiotu, ujmowane od strony zdobienia jego powierzchni, pozostało nie bez wpływu i na dekorację teatralną. Zdobnictwo, oparte na motywach sztuki ludowej, stosowanych często niewłaściwie i przesadnie i tu wycisnęło swe piętno. Zawdzięczamy mu dekoracje bogate, nieraz przeładowane nadmiarem plam i plameczek barwnych, wygrywających przeróżne efekty, na swój już wyłącznie, a nie sztuki, rachunek. Być może, dekoracja w ten sposób wynagradzała sobie zbyt długie pozostawanie w roli Kopciuszka, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż tak postępujący dekorator mijał się z celem. Istotą bowiem dekoracji nie jest ozdabianie sztuki, ani sceny; ona powina właściwie nie zwracać na siebie uwagi, lecz wspierać sztukę, dopowiadając plastycznie to, co się w treści słów już nie mieści. Dekoracje o charakterze zdobniczym odpowiadają zaledwie niektórym przedstawieniom, typu zdecydowanie widowiskowego, np.: baletom, nigdy zaś nie dadzą się zastosować do sztuk rodzaju dramatycznego. Trzeba tu zaznaczyć, że poszczególne koncepcje dekoracyjne różniczkuje nietylko indywidualność ich autorów, ale w równej mierze rozmaitość utworów, do których były przeznaczone. Najwłaściwszą domeną dla dekoratora teatralnego, terenem, na którym może się najpełniej wy-

powiedzieć, jest dramat. Tu najłatwiej mu pożegnać się z naturalizmem, tu bowiem kwestje stylu i kostjumy, skądinąd ważne, schodzą na drugi plan wobec potężnej gry namiętności ludzkich, których ton uczuciowy może dekorator jeszcze silniej uwydatnić wydobyciem odpowiedniego nastroju z zespołu form i barw. Jego pomysły, w podobnych wypadkach, mogą się posunąć do granic czystej abstrukcji niemal, trzeba brać pod uwagę raczej oddziaływanie na widza elementami dekoracyj, a nie ich treść formalną. Na padół trzeźwości ściąga zamysły inscenizatorskie inna kwestja. Dekorator ciągle musi mieć przed oczami wyobraźni aktora, który będzie się ruszał przecież w obrębie przestrzeni, rozwiązanej przez plastyka. To jest zadanie nader istotne, opierające się na prawach nietylko estetyki, ale i fizyki. Dekorator organizuje przestrzeń sceniczną. Tylko ten malarz ma do czynienia z trójwymiarowością. Jego wyobraźnia inaczej urabia wizję przyszłego projektu. Wizja ta, wychodząc z ram jednoplanowych obrazów, rozrasta się i wgłąb. Zniweczenie płaszczyznowości (koniecznej w malarstwie) pociąga za sobą dalsze konsekwencje. Załamania płaszczyzn (bryła, wnętrze), wystawione na światło, dają nowe efekty. Teraz także światłocień malowany może być zastąpiony—o ile zajdzie tego potrzeba—przez światłocień prawdziwy. Jesteśmy w kręgu zagadnień dekoracji współczesnej. Drabik nie odrazu w nim się znalazł. Do wyników, zawartych w ostatnich, dojrzałych projektach, dochodził stopniowo, etapami. Zwłaszcza długo popasał przy zdobnictwie dekoracyj.

Nie bez wpływu na niego pozostały zapewne upodobania ówczesne, lecz więcej może przyczyniła się do nadmiaru takich rozwiązań bujna żywotność artysty, który w ten sposób wyładowywał swój temperament, nim znalazł dlań ujście właściwe w szerokim oddechu, porywie późniejszych koncepcyj. Obdarzony został przez naturę najpiękniejszemi właściwościami talentu, które nieomylnie skierowały jego zapał ku sztuce teatru. Jedynie bowiem chłonna wrażliwość i odzew uczuciowy, wprawiający artystę w stan najwyższej egzaltacji, wyzwala jego twórczą wyobraźnię ku pomysłom miary, równej dramatom największych pisarzy.

Drabik te, nadewszystko cenne dla dekoratora teatralnego zalety posiadał i gdy utwór trafił na odpowiedni klawisz jego duchowego instrumentu, powstawały projekty nierzadko monumentalne („Lelewel" Wyspiańskiego, scena z „Dziadów", „Nie-Boska" Krasińskiego i inne). W porównaniu z ubożuchną temperaturą twórczą wielu dzisiejszych plastyków, była to psychika o całkiem innej skali przeżyć. Wizje sceniczne rysowały mu się z nieodpartą suggestywnością. Widział wszystko w sposób jedyny i nieomylny, aż do najdrobniejszych szczegółów. Oprócz dekoracyj i kostjumów narzucał aktorowi swoją wizję ruchu postaci i gestu mimicznego. Dla swojej skali twórczej potrzebował wielkich perspektyw (może dlatego mniej mu się udawały wnętrza), otwierał wrota do Boga. W swych najlepszych pomysłach łączy prostotę z wyrazistością — bez niej prostota jest ubóstwem. Zdobywa się na patos najszlachetniejszej jakości. Ostatnich, współczesnych koncepcyj dopracował się zapatrzony w siebie, jest to współczesność własna, nie zaś zapożyczona „moderna". Dlatego Drabik, jako temperament artystyczny i jednostka twórczo indywidualna, może i powinien być nazwany artystą naprawdę polskim.

*

Wystawiając dzieło Drabika, Zachęta pięknie pojęła swój obowiązek i zasłużyła się sprawom sztuki. Teraz, gdy wystawa jest jeszcze w świeżej pamięci publiczności, warto, by i teatry pomyślały o uczczeniu artysty. Najpiękniejszem byłoby wystawienie dzieła, o którego realizacji Drabik całe życie marzył i przygotował doń opracowanie dekoracyjne, w nadziei, iż może kiedyś ujrzy je wreszcie na scenie.

Mam na myśli „Akropolis" Wyspiańskiego.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Gembarzewski L. inż. Mikołaj Kopernik i wodociągi na Warmji i Pomorzu. Warsz. 1933. Odbitka z Przeglądu Techn. S. 16.

Zaranie Śląskie. R. IX, zeszyt 4. Cieszyn. Katowice.

Drogoszewski Aureli. Eliza Orzeszkowa. 1841—1910. Warszawa 1933. Nakładem Tow. im. Orzeszkowej. S. 125.

Żytomirska Xenia. Wiersze. Warsz. 1933. Dom Książki Pol.

Zalewski Ludwik. Z dziejów partyzantki 1833 r. w województwie Lubelskiem. Lublin 1934. Tow. Przyjaciół Nauk. Wyd. z funduszu Swidzińskiego. S. 140. Z portretami.

Życzyński Henryk. Problemy wersyfikacji polskiej. Cz. I. Rytm poetycki. Lublin 1934. Tow. Prz. Nauk. Str. 64.

Riabinin Jan. Materjały do lubelskiego słownika aktowego. Lublin 1934. Tow. Prz. Nauk. Wyd. magistratu m. Lublina. S. 60.

Evert Władysław L. Musimy zwyciężyć. Warsz. 1933. „Naród i wojsko". S. 108.

Conrad Joseph. W oczach zachodu. Tłum. H. Pajzderska. Wyd. II. Warszawa. Dom. Ks. Pol.

Dunin-Kozicka Marja. Miłość Ani. Powieść. Warsz. 1934. Dom Ks. Pol.

Posadzy Ignacy X. Droga pielgrzymów. Wrażenia z objazdu kolonji polskich w południ. Ameryce. Z 80 ilustr. i mapką. Wyd. II. Potulice 1934. Nakład. Sem. Zagranicznego. S. 343.

Piasecki Stanisław. Prosto z mostu. Warszawa, 1934. „Rój".

Młodożeniec Stanisław. Gamy i pejzaże. (Poezje. Warsz. 1934. „Wąkopy".

Szkice i fragmenty z powstania wielkopolskiego 1918/19. Pod redakcją Zygmunta Wieliczki I. Poznań 1933. Nakładem Związku Weteranów. S. 200.

Iłłakowiczówna Kazimiera. Ballady bohaterskie. Lwów 1934. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 200.

W ROZMÓWNICY

Redakcja nasza otrzymała list następujący:

Z więzienia w Wadowicach 30.XII.1933.

Wielce Szanowna Redakcjo!

Proszę uprzejmie o podanie mi adresu księgarni nakładowej następujących prac A. Swiętochowskiego: 1) O prawach człowieka i obywatela, 2) Utopje w rozwoju historycznym, 3) Źródła moralności. Zarazem proszę, jeśli to możliwe, o przesłanie mi ostatnich dwóch roczników „Myśli Narodowej" z 1932 i 1933 r. Należytość za nie uiściłbym po zwolnieniu mię z więzienia, gdyż w obecnej sytuacji jest mi to niemożliwe. Wreszcie składam Szanownej Redakcji życzenia wszelkiej pomyślności i wyrazy głębokiego szacunku.

Jerzy Ferens

Pan Ferens, kierownik miejscowej organizacji Stron. Narodowego, emerytowany nauczyciel, skazany został przez sąd w Wadowicach w sierpniu r. ub. na trzy lata więzienia w sprawie o rozruchy antyżydowskie w Żywieckiem, jako pomówiony o udział w tych zajściach. Przytaczamy jego kartkę, wysłaną z wiedzą zarządu więzienia dlatego, aby uprosić czytelników o wynalezienie i dostarczenie poszukiwanych przez p. Ferensa książek Swiętochowskiego, których już niema obecnie w handlu. Roczniki „Myśli Narodowej" już wysłane.

OFENSYWA

KARJERA TEGO KRAKOWSKIEGO

KIEDY lat temu trzydzieści w Paryżu jeden z trzech braci Reinachów (Panamczyków i trucicieli Francji) wyraził się nieco krytycznie o już wówczas zaczynającej się inwazji judokoków chazarskich do Francji, odpowiedział mu na to słynny Kijowski Chazar, pansemita antychrystyczny, Achad Haam surowym, karzącym „listem otwartym" w obronie Ostjudów:

„Tylko ci, którzy działają z wolnej woli i z przekonania, a nie z pobudek materjalnych, są wolnymi. Natomiast ci, którzy odpadają od swego narodu, by się przypodobać innym, są w swej istocie niewolnikami. Nasi francuscy dobrodzieje pańskiego pokroju nie przeczuwają, jak my, w naszej wewnętrznej wolności, do tego się odnosimy. My biedni żydzi wschodu, radujący się z naszej religji i z naszej narodowej jaźni, uwolnimy was, żydów francuskich, z waszej w e w n ę t r z n e j n i e w o l i. Patrzcie, już przychodzą do was ci b i e d a c y z e w s c h o d u i poczynają na was wywierać swój wpływ, choć wy ich wcale jeszcze nie widzicie i ich wpływu nie doceniacie. Wszak i dostojnicy w starożytnym Rzymie patrzyli z pogardą na biednych przybyszów ze wschodu dopóty, dopóki ci p r z y b y s z e n i e p r z e w r ó c i l i d o g ó r y n o g a m i c a ł e g o t. zw. p o t ę ż n e g o ś w i a t a s t a r o ż y t n e g o!"

Jak widzimy z tego: całkiem wyraźnie i szczerze. Żaden to apokryf. Drukowano to w „Naszym Przeglądzie", we wspomnieniu pośmiertnem o ostatnim Reinachu, Józefie, Panamczyku, gloryfikatorze Gambetty, archeologu i autorze „Orfeusza":

„... przybysze ze Wschodu... „n i e p r z e w r ó c i l i d o g ó r y n o g a m i całego t. zw. potężnego świata starożytnego".

O liście tym i w nim zawartym skoncentrowanym programie zniszczenia i zrujnowania także i Francji, w dzisiejszym Paryżu powojennym zapomniano całkowicie. A raczej go nie znają i nigdy nie znali. Inaczej chyba nie tak biernie i bezradnie pozwalaliby opanować tam wszystkie dziedziny życia całym chmarom, całym rojowiskom tej *racaille* ze Wschodniej Europy. Widzimy teraz otwartemi, rozszerzonemi, przerażonemi oczyma, co taka jedna genjalna szelma ze Wschodu, jeden taki kijowskich Chazarów potomek zrobił ze „stolicą świata" z „*ville lumiére*"..., jaką Kartaginę, jaki Korynt, jaką... A l e k s a n d r j ę. A przecież takich żydów ze Wschodu w tym Paryżu dziś omal sto tysięcy. A przecież omal każdy z nich—to olbrzymi ładunek energji niszczycielskiej, syfon trujących gazów, silniejszych w destrukcji i dekompozycji od osławionych fosgenów i iperitów. Niemcy wyczyściły się z tego *vermine* kompletnie i wszystko wysypały na Paryż, a Paryż zatruty teraz do szpiku kości, rzuca się w konwulsjach i ciska po pościeli jak zarażony, zagazowany, którego w szpitalu nie potrafią przywrócić do przytomności, do zdrowia, do siły.

Im bardziej wschodnie te judokoki, które rzuciły się na Paryż, tem groźniejsze, tem bezczelniejsze, bezwzględniejsze i dynamiczniejsze w akcji zatruwania organizmu francuskiego, a przedewszystkiem mózgu, to jest *capitale*, stolicy. Weźmy takie dzikie bestje, jak ten Basch z Węgier, jak ten „Żyromski", który ukradł i przekręcił nazwisko, jak ten Frauenstejn, kanalja z Odessy, ożeniona z córą baby Severine i działająca pod maską „Lecache", weźmy takich literatów rzekomo prawicowych, jak ten rozpanoszony Landau (Aldanow), jak ten oślizgły gad Kessel, pornograf i plagjator, asystent Stawiskiego, który wplątał w znajomość z Aleksandrem redaktora prawicowej „*Liberté*" Aymarda i o mało go nie skompromitował.

Żydy paryskie z Polski stosunkowo są mniej demoniczne i mniej dynamiczne. Pchają się i grasują raczej w literaturze, teatrze, sztuce, nawet w filozofji i tu robią szybkie i zawrotne „karjery". Niema wśród nich takiego potentata jak stary kubaniarz, wyrzucony nawet z „*Matin*'a" kowieński *jewrej* Sauerweinas, niema takich wszechświatowych *celebrités* jak ta cuchnąca pokraka Erenburg, lub jak krótkotrwała kometa rumuńska, Panait Istrati. Wymiary i format mają zbliżone do groteskowego Hieronimki (Hieronim Kohn), względnie do „radcy" Neumana, dziś posła polskiego, deportowanego do Norwegji. Tylko jeden żydek z *ghetta* prowincjonalnego zrobił stosunkowo olśniewającą karjerę, raczej towarzysko-geszefciarską, to jest Mühlstein, przez ożenek z tą dziko poną skąpą Rotszyldówną. Starszej generacji żydy szybko zrywały wszelkie nici z „ojczyzną", jak np. zmarły niedawno filozof Meyersohn „z Lublina", lub komedjopisarz Savoir (Poznański), stale udający w Paryżu... „Moskala".

Z młodszych wybiło się kilku czy kilkunastu—nie bez protekcji przyjaciela Stawiskiego, osławionego *demi-semi* ministra de Monzie (i *mamam* i *madame* żydówki). Należy do nich w pierwszym rzędzie Jankiel Adler, maliarz, „uczeń" Picasso'a, Matisse'a i Cézanne'a. Dalej Kramsztyk, który na przedmówcę do edycji swoich dwunastu plansz zafundował sobie Lechonia („*Les Visages*"). Dalej: Kolischer ze Lwowa, *schadchen* czyli stręczyciel między parlamentarzystami francuskimi a polskimi (od 2 lat „znikł"; czy w kryminale?). Dalej Jojne Jarociński, *Lodzermensch* pseudonim „Waldemar George" (*sic*) redaktor „*L'amour de l'art*" i autor „*Profits et perte de l'art*" (*cohntemporain*), obecnie „wróg" Picasso'a i Matisse'a i Cézanne'a.

Najciekawsza atoli jest karjera tego Krakowskiego. Jeden taki z Krakowa nazywał się Cracauer i jest „znakomitym" pisarzem niemieckim, drugi nazywał się Krakowski i idzie z *ghetta* warszawskiego. Był raz sprezentować mi się jeszcze w r. 1918-tym (za Niemców): skromny żydziak, cichy, łagodny, zdawało się, do stu doliczyć nie umie, ale po francusku *expedite*. Nie minął rok, okazuje się: rezyduje w Paryżu w jaczejce Wittenberga, Mühlsteina, M. Poznańskiego, K. Poznańskiego, Hufnagla, Klingslanda, Korala, czyli t. zw. „pierwszych polskich Piłsudczyków w Paryżu". Jakiś czas zajmował się tym samym procederem co Kolischer i Neuman t. j. pośredniczył w stosunkach między deputowanymi francuskimi a posłami i senatorami polskimi. Do specjalnych posług. Aranżowanie kolacyj i bankietów. Wypłacanie Sauerweinom. „Dzifczynki". Wszystkich znał, o wszystkiem wszystko wiedział, z Daudetem doskonale, z kardynałem Verdier także dobrze, z komunistami świetnie, z pacyfistami znakomicie, z Briandem za pan brat.

Potem zaczęły napływać wieści, że Edward Krakowski pisze „dzieła" naukowe i literackie. Jedno po drugiem. Do drugiego wstęp napisał mu... Pierre Lasserre! Nie Szalom Asch, a na złość Pierre Lasserre. Potem był temat polski: „*L'Europe Romantique*: *Trois destins tragiques*: *Słowacki, Krasiński, Norwid*". Geszeft subwencjonowany, a w polskiej prasie (i narodowej! hehe!) zachwalany.

Obecnie „*celèbre ecrivain*" Krakowski, *cher maitre* Krakowski ma na warsztacie jeden temat polski „*La Nation Polonaise devant l'Europe*" z dużemi zapewne komplementami dla kraju i rodaków, bo „idea" powzięta jeszcze przed... 26-tym stycznia. Do tego przedmowę ma pisać Paul Valery, co koszta subwencji podniesie wielokrotnie, ale Krakowskiego nowym blaskiem otoczy. Nadto wyjdzie drukiem odczyt, który nasz żydek miał w jakiemś „*Cercle*" czy „*Union*" p. t. „*Le Retour au culte des Héros*", po polsku „Asekurujemy się w razie czego i u Weyganda"...

W międzyczasie napisał p. Krakowski także dysertację o Plotynie: „*Plotin et le paganisme religieux*", gdzie, jak pisze p. Gonzague True w „*L'Action*":

„*M. Krakowski étudie succesivement l'hellenisme cosmopolite d'Alexandrie, les ancétres des neoplatoniciens, Orphée et Pythagore, la doctrine, les predécesseurs, les disciples et la suite du maitre*".

Hellénisme cosmopolite d'Alexandrie... A Aleksandrją nazywają tam teraz Paryż po tych dwóch... Aleksandrach...

Nas atoli niepokoi w tej olśniewającej karjerze dr. Edwarda Krakowskiego jedna sprawa, mianowicie ta, że dziewięć dziesiątych Polaków i żydków polskich z Paryża przebąkują raz po raz uparcie o nieoryginalności tych prac... *Ce sont les négres*, którzy to piszą, a ten pan tylko pono koryguje, adjustuje, lakieruje i podpisuje.

Co jest w tem prawdy, że *ce sont les négres*? Może to tylko *jalousie?* Czas by było wyjaśnić i kres położyć tym bajkom, aby potem nie buchnął znów skandal... *à la*... Aleksandrja... Głos ma p. E. Krakowski. Szalom!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Bardzo miłe wrażenie wywarło w kraju zachowanie się stronnictwa rządowego w Sejmie podczas dyskusji budżetowej w dn. 5 lutego. Posłowie BB, którym, jak wiadomo, nie wolno argumentować, postanowili śmiać się chórem. Śmiano się tak z powodu, że opozycja przywiązuje wagę do Konstytucji.

— Chwała Bogu—mówią sobie ludzie—„Sanacja" w ciągu czterech lat zrobiła w sumie ogólnej zgórą miljard złotych deficytu, ale widocznie coś się poprawiło w Skarbie, skoro ma taki dobry humor.

Jeżeli dalej tak dobrze będą szły interesy, BB może zechce tańcem wyrażać swoje dobre samopoczucie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.